MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 32. WARSZAWA, 4 SIERPNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

MOŻLIWE CZY NIEMOŻLIWE?

PRZERAŻAJĄCY dokument chwili — „Pamiętniki chłopów" — skłonił ludzi do myślenia. Przedewszystkiem do myślenia o tem, co się stanie z przyrostem naturalnym ludności wiejskiej. Czy będziemy mogli go wchłonąć? Wielu ludzi z faktu, że ludność wiejska żyje w złych warunkach, wyciąga wniosek, że trzeba zmniejszyć liczbę ludności wiejskiej przez ograniczenie przyrostu naturalnego.

Rzecz dziwna, że hasła te głoszą często ludzie, dążący rzekomo do zmiany obecnego ustroju gospodarczego. Przecież obecny układ sił będzie niemożliwy do utrzymania wobec przyrostu ludności, a ograniczenie tego przyrostu byłoby sposobem zapewnienia obecnemu porządkowi rzeczy większej trwałości.

Muszę wyjaśnić, co uważam za cechy charakterystyczne obecnego ustroju gospodarczego Polski. Jest to ustrój, polegający na powadze kapitalizmu zorganizowanego nad niezorganizowaną ludnością. Sfera wpływów zorganizowanego kapitalizmu—to banki, wielki przemysł skartelizowany, część handlu. Kapitalizm dąży do koncentracji i mechanizacji przy utrzymaniu bez zmiany rozmiaru produkcji.

Gdy zastanowimy się bliżej nad skutkami urzeczywistnienia w Polsce ustroju socjalistycznego, dojdziemy do przekonania, że byłby on podobny w swych skutkach do obecnego ustroju. Utrzymanoby zarówno koncentrację jak i mechanizację w przemyśle. Być może nawet, że zgodnie z zasadami socjalistycznemi rozszerzono. by mechanizację i koncentrację także na rolnictwo, jak to widzieliśmy w Rosji.

Zatem ustrój socjalistyczny nie mógłby poprawić obecnego stanu rzeczy w dziedzinie zatrudnienia. Gdyby *a priori* nisko oceniać kwalifikacje moralne kierowników gospodarstwa zsocjalizowanego, możnaby przypuszczać, że jego promotorom zależy na obniżeniu poziomu przyrostu naturalnego po to, by móc utrzymać system koncentracji , dający ogromną władzę i duże dochody nielicznej warstwie kierowniczej. (Wiadomo przecież, że w wielu państwach b. socjaliści i rewolucjoniści, doszedłszy do władzy, stają się łapczywi na pieniądze). Ale to już jest sprawa drugorzędna. Chodziło nam tylko o to, by stwierdzić, że hasła ograniczenia przyrostu naturalnego szerzone są przez żywioły, dążące do utrzymania podstaw dziewiętnastowiecznego ustroju gospodarczego, w formie zorganizowanego kapitalizmu lub też w formie socjalizmu — różnica jest niewielka.

Inne stanowisko w tej sprawie zajmuje obóz narodowy, który stając wobec dylematu: utrzymać obecny ustrój i zmniejszyć przyrost naturalny, albo zmienić ustrój, a utrzymać obecny przyrost naturalny lub nawet go powiększyć, odpowiada bez wahania: zmienić ustrój gospodarczy.

Jakież zmiany ustroju gospodarczego są konieczne dla zapewnienia pracy dla wszystkich Polaków, tych, którzy są i tych, którzy będą? Czy zadanie to jest możliwe do spełnienia?

Trzeba odrazu stwierdzić, że w warunkach demograficznych Polski zadanie zatrudnienia całej ludności jest niezwykle ciężkie. Obecnie, zgrubsza biorąc, mamy w stosunku do ilości pracy, jaką dostarcza nasze życie gospodarcze, o 6 miljonów ludności za dużo. Przyrost naturalny wynosi rocznie około 400.000 osób. Te dwie cyfry dostatecznie charakteryzują rozmiar zadań, jakie nas czekają. Wobec ich ogromu dziwić się nawet trudno, że są ludzie, którzy, zamiast coś robić, tworzyć i w czyn wcielać jakiś program, chowają głowy w piasek, udając, że nie widzą rzeczywistości...

Kierunek narodowy nie może ich naśladować. Zagadnienie pracy dla narastających pokoleń jest jakby syntezą, punktem centralnym wszystkich trudności gospodarczych. Rozwiązanie tego zagad-

nienia będzie dowodem, że ustrój gospodarczy został naprawdę naprawiony. Będzie to też automatycznie rozwiązaniem wszystkich niemal innych zagadnień gospodarczych.

Weźmy parę przykładów: bezrobotny spożywa w Warszawie rocznie średnio 115,6 kilogramów [1]) chleba, 5,6 kilogramów bułki i ciast, 15,5 kilogramów mąki, zaś robotnik zatrudniony 154 kg. chleba, 11,8 kg. bułki i ciast, 46,4 kg. mąki. Jeżeli przyjmiemy tylko, że ilość zarejestrowanych bezrobotnych z rodzinami wynosi średnio rocznie 1.600.000 osób, to dojdziemy do wniosku, że zmniejszenie spożycia z powodu bezrobocia przeliczone na zboża chlebowe (przyjmując stosunek 1 kg. chleba = 1 kg. zboża, 1 kg. bułki = 160 kg. zboża, 30 kg. mąki = 51 kg. zboża) wynosi na osobę 99,32 kg. rocznie, czyli okrągło 100 kg., a zmniejszenie spożycia wśród zarejestrowanych bezrobotnych w całej Polsce wynosi rocznie 1.600.000 kwintali zboża. Liczba zarejestrowanych bezrobotnych wynosi powyżej połowy ogólnej liczby bezrobotnych przemysłowych. Przypuśćmy więc, że zmniejszenie spożycia zbóż wskutek bezrobocia wynosi 3.200.000 kwintali rocznie.

Tymczasem wywóz wynosił w latach 1928—1934 średnio rocznie 2.520.000 kwintali. Okazuje się więc, że samo bezrobocie miejskie pociągnęło za sobą zmniejszenie spożycia, które zmusiło nas do wywożenia zboża. Wzrost spożycia bezrobotnych miejskich do norm spożycia pracujących robotników zlikwidowałby „nadwyżki zbożowe", usuwając w znacznej mierze jedną z istotnych przyczyn przesilenia rolniczego.

Weźmy teraz pod uwagę, że spadek spożycia wskutek bezrobocia dotyczy także innych artykułów rolniczych (mięso, nabiał etc.), że dalej połowa ludności wiejskiej nie dojada, podobnie jak bezrobotni w miastach — a dojdziemy do wniosku, że gdyby nie bezrobocie, zarejestrowane i niezarejestrowane, miejskie i wiejskie, nie byłoby u nas zagadnienia nadprodukcji rolniczej, przeciwnie, musielibyśmy się troszczyć o zwiększenie wytwórczości rolnej.

Drugi przykład — trudności budżetowych. Według tych samych źródeł, na których opieraliśmy statystykę spożycia zbóż przez bezrobotnych i zatrudnionych, obliczmy spożycie — wyrobów monopolowych. W roku 1932 rodzina bezrobotnego wydawała na tytoń i alkohol 20 złotych rocznie. W r. 1927 rodzina robotnika pracującego wydawała na alkohol i tytoń 105,60 złotych. Przyjmując dla roku 1935 normy o 25% niższe, otrzymamy w przybliżeniu 80 złotych. Różnica wynosi 60 złotych, z czego conajmniej 30 zł. stanowiłoby czysty zysk monopoli państwowych. Gdy weźmiemy pod uwagę, że rodzin bezrobotnych lub prawie bezrobotnych w mieście i na wsi jest najmniej 2.000.000, otrzymamy w rezultacie 60 miljonów zł. więcej wpływu z samych monopoli państwowych dzięki zatrudnieniu bezrobotnych, to jest 40% preliminowanego na r. 1935/6 deficytu. A zwyżka wpływów monopolowych to przecież tylko uboczny rezultat zatrudnienia bezrobotnych, które dałoby w rezultacie wzrost dochodów skarbu z wielu także innych źródeł.

[1]) Dane z pracy A. Minkowskiej „Rodzina bezrobotna". Autorka przyjęła za podstawę obliczeń spożycie 80 rodzin bezrobotnych. Cytowane dalej spożycie robotników—według danych „Małego Rocznika Statystycznego" na r. 1935.

Zdaję sobie sprawę z tego, że obliczenia zastosowane przy wyżej wymienionych dwu przykładach są bardzo dalekie od ścisłości. Chodziło mi jednak tylko o pewną przybliżoną ilustrację, o wykazanie, że najtrudniejsze zagadnienia będą rozwiązane, jeżeli rozwiążemy zagadnienie zatrudnienia.

Zagadnienie to zatem wymaga skupienia całej energji, wszystkich sił. Odróżnić przytem należy dwie sprawy: 1) usunięcia bezrobocia t. zw. konjunkturalnego na dziś, coby było tylko małym etapem ogólnej akcji i 2) takiego przeobrażenia ustroju gospodarczego Polski, by stworzyć trwałe pole do pracy dla młodych pokoleń.

Wskazówki co do chwili dzisiejszej są już poniekąd ustalone. Doraźne zwiększenie stanu zatrudnienia osiągnąć można przy pomocy likwidacji karteli. Należy przypomnieć, że w okresie wolności gospodarczej (niech czytelnik nie bierze moich uwag za pochwałę bezkrytyczną tego okresu) przebieg przesileń był odmienny niż dziś. Następstwem załamania konjunktury był z reguły wielki spadek cen wszystkich artykułów. Naprzykład cena żelaza spadała o 70 procent. Natomiast stan zatrudnienia zmniejszał się nie tak poważnie: o 20—30 procent. Dzisiaj natomiast ceny artykułów skartelizowanych spadają o 20—30 procent, zaś ich wytwórczość o... 60—70 procent. Sztywność cen uelastyczniła produkcję i stan zatrudnienia.

Są wprawdzie publicyści, którzy próbują powyższe zsumowanie podważyć, ale na szczęście nikt ich poważnie nie traktuje. Prawdopodobnie oni sami nie wierzą w to, co piszą. Zresztą doświadczenia z rozwiązaniem jednego z karteli w Polsce wykazują, że istotnie szybka zniżka cen pociąga za sobą wzrost produkcji. Po rozwiązaniu kartelu cementowego, ceny cementu spadły bardzo wydatnie, a zatrudnienie w cementowniach wzrosło o 50 procent.

Dalszym krokiem ku zwiększeniu stanu zatrudnienia mogą być roboty publiczne. Różnie się można zapatrywać na zagadnienie nakręcania konjunktury, każdy jednak zgodzi się z tem, że wobec olbrzymiego rozmachu inwestycyjnego Niemiec i Rosji Sowieckiej nie możemy stać w miejscu choćby ze względu na obronę państwa. Budowa wielkiego przemysłu wojennego w Rosji, rozbudowa sieci autostrad w Niemczech — to fakty, które zagrażają naszemu bezpieczeństwu.

Odpowiedzią naszą musi być ulepszenie sieci dróg w Polsce, dalej stworzenie przemysłu wojennego na odpowiednią skalę. Jednem słowem, program inwestycyjny przeprowadzić musimy niezależnie od zagadnienia zatrudnienia.

Chodzi tylko o to, żeby przy tem nie zdezorganizować życia gospodarczego i nie wprowadzać systemu niewolnictwa wzór Rosji Sowieckiej (armje pracy i t.p.). Jedno i drugie można wykonać w warunkach polskich. Mamy dostateczną ilość ludzi, którzy bez żadnego przymusu podjęliby się najcięższej pracy. Z drugiej strony wynalezienie funduszów potrzebnych na roboty publiczne nie nastręczyłoby tak wielkich trudności, jak to sobie ludzie wyobrażają.

Przyrost oszczędności pieniężnych w Polsce jest, mimo wszystko, spory, gdyż zmysł oszczędności rozwija się szybko, a ci nawet, którzy oszczędzać nie chcą, są do tego zmuszeni, czy to przez ubezpieczenia przymusowe na starość, czy też innemi sposobami.

Niestety, obecnie cały przyrost oszczędności pieniężnych staje się czysto rachunkową operacją. Na dobro oszczędzających zapisuje się ich należności, a pieniądze otrzymuje wzamian za różne obligacje Skarb Państwa. Ten z kolei wydaje je na różne potrzeby bieżące. Trwałego efektu gospodarczego oszczędności społecznych niema. Przestawienie gospodarki państwa w tym kierunku, by z oszczędności powstawały dzieła o trwałej użyteczności, jest koniecznością narodową. Dlatego za wszelką cenę musi być przeprowadzone zrównoważenie budżetu. Jest to zalecenie dość oklepane. Każdy je rozumie, niestety, na odpowiednich stanowiskach brak ludzi silnych, którzyby mogli je przeprowadzić...

Mógłby mi ktoś zarzucić, że przecież zrównoważenie budżetu państwowego pociągnie za sobą pewien wzrost bezrobocia wśród pracowników umysłowych, który skompensuje wzrost zatrudnienia dzięki robotom publicznym. O tyle, o ile oszczędności budżetowe będą miały charakter personalny, zarzut ten jest częściowo słuszny. Będziemy musieli jeszcze do niego wrócić. Możnaby dalej powiedzieć, że nakręcanie konjunktury przy pomocy robót publicznych jest operacją niezdrową, że to dalszy wzrost etatyzmu i t. p.

Wszystkie te zarzuty byłyby słuszne w stosunku do źle ułożonego i źle finansowanego planu robót publicznych. Naprzykład budowa nowych fabryk państwowych byłaby inwestycją błędną. Nikt natomiast nie zaprzeczy, że drogi mogą być budowane tylko przez państwo lub samorząd. Rozwój ich sieci nie pociąga za sobą rozkwitu etatyzmu.

Co się tyczy metod finansowania inwestycyj, proponuję system zużywania na ten cel istotnego przyrostu kapitałów pieniężnych, oczywiście nie w całości. Kapitały te są w dużej części wycofywane z obrotów gospodarki prywatnej. To prawda. Nie wrócą jednak tak łatwo do tej gospodarki. Znalazły się w instytucjach (PKO., Zakłady Ubezpieczeń), które nie są zdolne do rozprowadzania drobnych kredytów. Narazie wystarcza nam stwierdzenie, że zużycie, w sposób przezemnie proponowany, kapitałów nagromadzonych w tych instytucjach, może przyczynić się do wydatnego zmniejszenia bezrobocia, a zarazem odpowiada zdrowym zasadom lokaty kapitałów. Wedle zasad tych dłużnik musi zużyć wypożyczone kapitały w sposób, zwiększający jego dochody. Z tego względu budowa dróg przez państwo jest wkładem celowym. Nic bowiem nie zwiększa w tym stopniu dochodu społecznego i siły płatniczej społeczeństwa, jak ulepszenie dróg komunikacyjnych. Najlepszem zabezpieczeniem długów państwa jest właśnie zdolność płatnicza społeczeństwa. Zakładanie przedsiębiorstw państwowych jest przedsięwzięciem o wiele ryzykowniejszym. Zdolność do spłacania odsetek i wypożyczonego kapitału zależy wówczas od dochodu z danego przedsiębiorstwa państwowego. Często się zdarza, że nowe przedsiębiorstwa państwowe same nie dają zysków, a siłę płatniczą społeczeństwa raczej zmniejszają, niż zwiększają.

Ulepszona sieć dróg przyczynia się do zwiększenia obrotów gospodarczych. Staje się więc w ten sposób źródłem trwałego zwiększenia stanu zatrudnienia. Tem właśnie różni się przeznaczanie środków pieniężnych na inwestycje od obracania ich na bieżące wydatki, t. j. na opłacanie biurokracji. W pierwszym wypadku ostatecznym rezultatem jest stworzenie nowych, trwałych źródeł dochodu dla społeczeństwa, w drugim... stos zapisanego papieru. Bezpośrednie następstwa wydobywania pieniędzy przez państwo są w obu wypadkach jednakowe—pośrednie zupełnie różne. W tem mieści się zarazem odpowiedź na zarzut, że oszczędności budżetowe, potrzebne dla urzeczywistnienia planu robót publicznych, skompensują w dziedzinie zatrudnienia dodatni efekt tych robót.

Efekt robót publicznych zależy w dużej mierze od cen podstawowych surowców. Przy niskich cenach będzie o wiele większy ilościowo niż przy wysokich cenach. Z tego względu plan prowadzenia wielkich robót publicznych przy pomocy niezbyt wielkich środków pieniężnych wymaga równoczesnego rozbicia karteli surowcowych i półsurowcowych (węglowego, żelaznego i t. p.). Bez tego nie ma on wiele sensu.

MARJAN SZARZYŃSKI

„PUGILLATORI"

POŚRÓD moich znajomych posiadam jedną, którą nazywam zawsze w myśli autentyczną masonką. Nie dlatego, jakobym wątpiła o należeniu do masonerji niektórych innych z pośród moich znajomych. Pani C. była jednak jedyną, która o swej przynależności do masonerji mówiła ze mną otwarcie.

Było to przed kilku laty. Byłyśmy obie same, obie chore, pośród obcego otoczenia. Pani C. wiedziała, o tem, że jest chora nieuleczalnie. Ja, wskutek mylnej djagnozy lekarza, spędziłam poprzednią zimę w przeświadczeniu, że koniec stoi przy mnie bardzo blisko. Musiało nas to do siebie zbliżyć. Dzięki niedawnym własnym przeżyciom rozumiałam zapewne lepiej, niźli kto inny, stany duchowe mej towarzyszki, a przedewszystkiem to jej ustawiczne powracanie myślą w przeszłość, tę potrzebę robienia obrachunku z całego życia, ważenia, co miało w niem istotną wartość, co zaś było pomyłką tylko i stratą tego nazbyt krótkiego czasu, w jakim zamknięte jest istnienie jednostki.

Powyższym okolicznościom zawdzięczałam niewątpliwie to, iż pani C. zaczęła ze mną mówić o tem, że należała kiedyś do masonerji.

Będąc od kilku lat masonką „śpiącą", t. j. nieczynną w związku, udział swój w masonerji uważała za rzecz cenną i ważką. Gdy zapytałam ją, za co ceni tak bardzo masonerję, odpowiedziała mi, że jest to organizacja, która prowadzi wydatną działalność filantropijną, że w pracy tej ona brała czynny udział i wie, jak wiele dobrego ci ludzie robią.

Masoni mają zwyczaj mówienia pół-prawd, a pół-kłamstw. (Jest to jeszcze jedno przeciwieństwo do zasad Ewangelji, która naucza: „Mowa

twoja niech będzie: tak — tak, nie — nie"). Hergeth w swojej pracy o powojennej masonerji austrjackiej przytacza informację jednego z autorów masońskich, że w lożach kilku pierwszych stopni masoni zajmują się filantropją. Odpowiedź pani C. mogła być zatem informacją ścisłą z punktu widzenia posiadanych przez nią wiadomości, mogła zaś być prawdą połowiczną, przeznaczoną na użytek „profanki". Mogła być wreszcie zwykłą towarzyską odpowiedzią, w której nie wyczerpuje się kwestji, poprzestając na pierwszej informacji, jaka się nasuwa na myśl. W każdym razie stwierdziłam, że było pani C. wiadome, iż filantropja nie wyczerpuje całości działań masonerji. Na moje zapytanie, dlaczego masoni otaczają się taką tajemnicą, jeśli celem ich działalności jest filantropja, nie umiała mi odpowiedzieć i odniosłam wrażenie, że nie postawiła sobie nigdy takiego zapytania. Gdy jednak starszy z jej chłopców, pochwyciwszy jakieś zdanie z naszej rozmowy, podszedł do niej z zapytaniem: „Co to są masoni?", odpowiedziała mu po namyśle:

„To są bardzo dobrzy ludzie, tylko — mają swoją własną religję".

Żałowałam bardzo, że nie przyszło do tego, aby mi określiła, jaka to jest „masońska religja".

Z ową to panią C. wymieniłam pewnego dnia następujące pytania i odpowiedzi:

Mówiła mi o tem, że należała do stopnia masonerji, noszącego nazwę *pugillatori*. Wiedziałam, że *pugillo* jest po włosku: pięść, zapytała zatem, co oznaczała tak dziwna nazwa? (Pięściarze? zapaśnicy? bokserzy?).

„To są ci, powiedziała pani C., którzy dawniej za zdradę tajemic masonerji zabijali *(hanno ucciso)*.

— „A dzisiaj nie zabijają?" zapytałam, przypomniawszy sobie najrozmaitsze pogłoski na temat śmierci Rathenau'a i innych, spotykane w pismach antymasońskich. *(E oggi non uccidono?)*.

Pani C. zastanowiła się przez chwilę.

— „Dzisiaj zabijają moralnie". *(Oggi uccidono moralmente)*.

Niewiele ludzkich powiedzeń dało mi tak dużo do myślenia, jak owa odpowiedź pani C. na moje zapytanie. Wyjaśniła mi ona zarówno najrozmaitsze, niezrozumiałe inaczej fakty, znane mi uprzednio, jak i rzeczy, z któremi zetknąć się miałam później.

Jak można zabić kogoś moralnie?

Można, jak to czyni Związek Grabarzy w „Dziedzictwie" Wybranowskiego, przedstawić człowieka w oczach kochanej kobiety jako chorego wenerycznie rozpustnika i zabić go w ten sposób moralnie w jej oczach. Można człowieka zdrowego na umyśle oddać do szpitala warjatów i złączyć na całe życie jego osobę z widmem choroby umysłowej. Można człowiekowi uczciwemu wytoczyć proces o kradzież i oszustwo i uniemożliwić mu oczyszczenie się z zarzutów. Można jednostce, zajmującej wysokie stanowisko, wyrobić opinję półgłówka, któremu jedynie tylko dzięki jakiejś niezrozumiałej pomyłce dostał się odpowiedzialny dział pracy. Sposobów może tu być bardzo wiele. Przypomniałam sobie, po mojej rozmowie z panią C., jak kiedyś, przed kilkunastu już prawie laty, o jednym z naszych ministrów, który objął świeżo swój resort, zaczęły odrazu krążyć w pewnem środowisku opowiadania, przedstawiające go jako człowieka tak dalece ograniczonego, że już podczas pierwszego zetknięcia się z urzędnikami wywoływał wrażenie zupełnej nieudolności. Powtarzano to tak na wszystkie strony, że opinja ta musiała dojść do uszu każdego, kto chciał i kto nie chciał się tem interesować. Otóż zdarzyło się przypadkowo, że w kilka tygodni potem nietylko zetknęłam się z owym niepopularnym ministrem, ale mogłam zdać sobie sprawę z jego niezwykle jasnej umysłowości, z umiejętności chwytania w lot istoty każdego zagadnienia, z bardzo głębokiego ujmowania każdej kwestji. Zestawienie zasłyszanych opowieści z rzeczywistością otworzyło mi wówczas oczy na fakt, w jak wielkiej mierze urobić można bezpodstawnie jednostce złą albo dobrą opinję, wówczas nawet, gdy stojąc na świeczniku, może dana jednostka mówić o sobie czynami.

Istotnie — tam, gdzie mamy do czynienia z organizacją, — sprawa jest niezmiernie prosta i łatwa. Wyobraźmy sobie np., że w jakiemś mieście prowincjonalnem na 30-u, dajmy na to, adwokatów, 8-iu należy czy to do loży masońskiej, czy to do jakiejkolwiek innej tajnej organizacji, opartej o zasadę bezwzględnego popierania swoich członków. Otóż jeżeli siedmiu z pośród nich będzie stale mówić o ósmym, jako o człowieku wielkiej wartości, zdolnym, energicznym, uczciwym, bezinteresownym, jeśli w podobny sposób każdy z ośmiu członków będzie miał siedmiu swoich chwalców, bardzo prędko całe miasteczko zostanie utwierdzone w przeświadczeniu, że istotnie owych ośmiu ludzi przewyższa pod każdym względem ogół swoich kolegów, bez względu na istotną wartość owych jednostek. Toż samo urobienie opinji w kierunku odwrotnym nastąpi wówczas, gdy owych ośmiu ludzi zechce o którym z pozostałych 22-ch kolegów odzywać się stale i systematycznie w sposób ujemny, jako o człowieku chociażby tylko niewyraźnym.

W wielkich miastach trudniej jest, niż w małych środowiskach, chwytać takie kształtowanie opinji na gorącym uczynku, fale bowiem, jakie opinja zatacza, rozchodzą się tutaj szerzej i nie tak prędko przynoszą rzucone słowo z powrotem. Ponieważ jednak w praktyce chodzi o jakąś określoną sferę wpływów, o oddziałanie na pewne grupy czy też organizacje, więc mając zorganizowaną pewną liczbę jednostek i posiadając przez swych członków, w myśl innej znowu organizacyjnej zasady, nakazującej być wszędzie, dostęp do wszelkich kół, grup i organizacyj, można i tutaj osiągnąć cel z łatwością, nawet bez uciekania się do mniej w wielu razach dogodnej pomocy prasy.

Nie potrzeba nikogo przekonywać, że brak zdrowej opinji publicznej stanowi klęskę społeczną. Otoczyć czcią jednostki, które na to nie zasługują, jest to działać na szkodę społeczeństwa, jest to bowiem — otworzyć naoścież drzwi wpływom złym lub, co się częściej zdarza, bezwartościowym. „Zabić moralnie" jednostkę wartościową jest to wyrządzić krzywdę i indywidualną i społeczną. Jest to bowiem — wyrzucić daną jednostkę poza nawias życia i nie pozwolić jej dać z siebie ani cząści tego, co mogłaby dać społeczeństwu w innych warunkach.

Tutaj nasuwa się pewna dygresja. Do masonerji należą często jednostki, cieszące się opinją ludzi prawych i zacnych, i to zupełnie słusznie. Nie należy bynajmniej sądzić, że jest to zawsze tylko opinja „urobiona", a więc niezasłużona. Profan

powziąć tu może zatem wątpliwość: masoni, jak twierdzą ich przeciwnicy, zabijają ludzi moralnie, działają przy pomocy intryg, insynuacyj i fałszów. Jak można przypuścić, aby ci należący do masonerji, zacni i prawi ludzie używali tego rodzaju środków działania?

Sami masoni, w odpowiedzi na stawiane im zarzuty, powołują się zwykle na należące do nich, znane i cenione osobistości. „Czyż może organizacja, do której należy książę Walji, popierać ruchy wywrotowe?" Oto jeden z argumentów, spotykanych tak często w podległej wpływom masonerji prasie angielskiej. Czyż może pragnąć zła i dążyć do złego organizacja, do której należą X, Y, Zet?

„Królewska sztuka", sztuka rządzenia ludźmi, umie jednak takie sprzeczności z sobą pogodzić. Te napozór nierozwiązalne pytania znajdują wytłumaczenie w tem, co wiemy o organizacji masonerji.

Masonerja, jak wyjaśnia jeden z jej znawców, Le Forestier, nie jest bowiem bynajmniej organizacją jednolitą. Jest to raczej jakgdyby grupa organizacyj, związanych z sobą nakształt jagód jednego grona, bardziej jednak z sobą splątanych, przerastających i przenikających się wzajemnie. Istnieją nawet, jak twierdzi inny jej znawca, Hergeth, szeregi stopni, z których, jak ze ślepych uliczek, niema wyjścia do stopni najwyższych, a które, jak się zdaje, służą do tego celu, aby pewne jednostki, niezasymilowane przez masonerję w tym stopniu, aby mogły zostać przyjęte do grup kierowniczych, a z któremi ze względu na ich stanowisko społeczne masonerja musi się liczyć, izolować od innych, dając im jednocześnie złudzenie posuwania się na wciąż wyższe stopnie.

Dzięki tego rodzaju organizacji, do masonerji należeć mogą ludzie o bardzo różnem duchowem obliczu i różnym stopniu poczucia etycznego, tak jak należą do niej ludzie o różnych przekonaniach politycznych, co masoni zaznaczają niejednokrotnie sami. Zarówno należący do kierunków politycznych prawicowych, jak przedstawiciele lewicy, zarówno ludzie o wysokiej wartości moralnej, jak i pozbawieni zdolności rozróżniania pomiędzy dobrem i złem, oddają masonerji usługi i spełniają wyznaczone role; zarówno z jednych, jak i z drugich, nieznani im kierownicy, z a d o w a l a j ą c s i ę o s i ą g n i ę c i e m w p ł y w u c z ę ś c i o w e g o, ciągną korzyść.

Wiemy np., że do węglarstwa, które było odłamem masonerji, należały we Włoszech najczystsze i najszczytniejsze duchy ówczesnych Włoch. Przeczytajmy zaś, co pisze o współczesnej francuskiej masonerji takie poważne i zrównoważone czasopismo, jak *„Revue de deux Mondes"* w n-rze z dn. 1 kwietnia 1934 r.: „Nie wszyscy masoni", — powiada autor *„Chronique de la Quinzaine"*, — są przestępcami *(des malfaiteurs)*, ale wszyscy przestępcy, wszelkiego pokroju i wszelkiego poziomu intelektualnego przyłączają się do jakiejś loży, która ich proteguje i wysuwa naprzód". Autor pisze te słowa z okazji wypadków z dn. 6 lutego 1934 r., podczas których polegli ci, co według cytowanych w tymże numerze *„Revue des deux Mondes"* słów jednego z uczestników demonstracji, „nie mogli przenieść tego, że rząd, złożony z masonów, sprawę Stawiskiego chce zatuszować".

Należący, jak dziś już wiadomo, do masonerji, twórcy naszej Konstytucji 3 Maja, zasłużyli sobie swojem dziełem na szczerą wdzięczność społeczeństwa. Ale ciż sami twórcy Konstytucji 3 Maja zawarli przymierze polsko-pruskie, idąc niewątpliwie po myśli jednego z najwybitniejszych ówczesnych masonów, Fryderyka Wielkiego, które to przymierze przekreśliło w praktyce nieomal całkowicie rezultat ich konstytucyjno-twórczych prac, doprowadzając do drugiego i trzeciego rozbioru. Trudno oprzeć się przeświadczeniu, że jest to jaskrawe zaprzeczenie tej jakoby wielkiej samodzielności lóż, o której pisze w swojej broszurze z całą dobrą wiarą Verax — i przykład tych częściowych wpływów, narzucanych zgóry, widocznych dopiero w perspektywie czasu, patrzącym z boku, działających zaś prawdopodobnie w sposób dla członków lóż niedostrzegalny.

W różnorodnych pod względem poziomu etycznego grupach i lożach, zasady, głoszone przez masonerję, wyglądają z wszelką pewnością rozmaicie. Możemy zatem przypuścić, że istnieją grupy masonerji albo też loże, dla których „zabić kogoś moralnie" oznacza to ujawnić i s t o t n e i r z e c z y w i s t e zło, popełnione przez daną jednostkę. Może tu być jednak mowa tylko o jednostkach, nie należących do masonerji, jak świadczy przytoczona wyżej cytata francuskiego czasopisma, sprawy, kompromitujące masonów, nawet członkowie rządu, powołani we własnym tego rządu interesie do czuwania nad praworządnością kraju, będą się starali „zatuszować". I można dalej przypuścić, że istnieją grupy masonerji albo loże masońskie, dla których zabić kogoś moralnie, znaczy to otoczyć go siecią intryg, insynuacyj i fałszów, z których nie potrafi się wyplątać. Podobnież *pugillatori* rozwijać mogą swoją działalność wówczas, gdy chodzi o zdradę tajemnic masonerji i wówczas, gdy chodzi o przeciwników nie masonerji, ale poszczególnych masonów.

Różnorodne pod względem poglądów etycznych grupy działać jednak mogą na rzecz jakiejś sprawy zgodnie. Aby bowiem na rzecz jakiejś sprawy działać, nie potrzeba znać jej do gruntu. Wystarczy wiedzieć o niej to, co może pobudzić do działania. Już w IX wieku przed Chrystusem jeden z tajnych związków, stanowiących prototyp dzisiejszej masonerji, „Batimidzi", uczył swoich wyznawców, że należy „do każdego mówić jego własnym językiem". Oznaczało to — skłaniać się zawsze w rozmowie do poglądów słuchaczy, rozmawiając zatem z pobożnymi przywdziewać maskę cnoty, mistykom tłumaczyć tajemnice mistyki i t.d. Był to jeden ze środków, przy pomocy których dążyła sekta Batimidów do zapanowania nad światem[1]). Te właśnie zasady stosuje, jak się zdaje, masonerja do własnych członków.

Wystarczy bowiem, aby każda z grup masonerji, które mają w jakiejś sprawie odegrać rolę, otrzymała w danej sprawie wiadomości odpowiednio spreparowane, zastosowane do jej poglądów politycznych i jej zasad etycznych, by skłonić najrozmaiciej myślących ludzi do działania, będącego według nich działaniem w myśl własnych zasad, idącego jednak po linji celów, do których dążą ukryci kierownicy. Cała rzecz polega na naciśnięciu odpowiedniej sprężyny. Zrozumienie tej zasady wyjaśni nam zarazem całkowicie celowość

[1]) Nesta H. Webster: *„Secret Societes and Subversiv Movments"*.

i użyteczność, jaką przedstawia z punktu widzenia kierowniczych sfer masonerji istnienie w niej grup, należących do wszelkich kierunków politycznych, etycznych, a nawet religijnych, co całą organizację masonerji czyni często tak bardzo niezrozumiałą.

Innemi słowy — masoni wprowadzani są, jak się zdaje, równie często w błąd przez swych własnych członków, jak nie-masoni, przyczem wobec tego rodzaju ustroju organizacyjnego, jaki posiada masonerja, nie może być dla nich nigdy pewne, czy kierunek, w którym mają sprawę posuwać, zostaje im narzucony z góry, czy też — z boku, od jakiejś grupy wszczepionej w organizację, może niezgodnej z jej zasadniczemi postulatami. „*Pugillatori*" dlatego są tak niebezpieczni i szkodliwi, że ich właśni kierownicy rzucają im często piaskiem w oczy, jak również, że otrzymując polecenia i informacje, nie mogą sami być pewni, od kogo one pochodzą.

Czasy, w których żyjemy, są czasami kryzysu moralnego. Szeregi myślących ludzi dobrej woli zadają sobie pytanie, w jaki sposób można ów kryzys moralny zwalczyć, innemi słowy, jak można przywrócić wiarę w dobro ludziom, którzy ją utracili.

Zagadnienie to wiąże się z zagadnieniem zdrowej opinji publicznej. Należy zdać sobie sprawę z tego, że fałszowanie opinji publicznej jest również z tego względu szkodliwe, iż demoralizuje szeroki ogół, zaciera bowiem przedział między dobrem a złem, stwarza poczucie, że dobro i zło to rzeczy, które nie istnieją. I należy sobie uświadomić, jaką rolę w fałszowaniu opinji publicznej odgrywa masonerja z jej umiejętnością urabiania tej opinji, z jej zasadą bezwzględnego popierania swoich członków i z jej organizacją, którą się do tego celu posługuje, a w której istnieją i działają — tak bardzo często naoślep — *pugillatori*.

MARJA STECKA

Z CYKLU: POLSKA NA MORZU

DĄŻENIA MORSKIE W DOBIE ROZBIORÓW

(Dokończenie)

Poprawa warunków ekonomicznych wyraziła się szybko w cyfrach. W dziesięć lat po 1-szym rozbiorze, tj. w 1783 r., wywóz rolniczy z Polski wynosił już 3 840 000 hektolitrów zboża, a zatem powiększył się o 67%, a wartość jego wzrosła do wysokości 42 000 000 zł., biorąc przeciętną cenę sprzedaży zagranicę po 11 zł. za hektolitr.

Zboże to, jak wiadomo, szło do Europy Zachodniej. Drogi dla niego były dwie: jedna, stara, przez Bałtyk, a druga, nowa, przez morze Czarne. Droga bałtycka była w najwyższym stopniu utrudniona przez zarządzenia celne traktatu pruskiego z 1775 r., które podcinały cały obrót gdański i starały się zmusić polskich eksporterów do spieniężania wywożonego zboża w Elblągu lub Królewcu czy Kłajpedzie. Gdańsk, pozostawiony przy Rzeczypospolitej po 1-szym rozbiorze, był oddzielony teraz od niej zagarniętemi przez Fryderyka Wielkiego Prusami Królewskiemi, przezwanemi niezwłocznie na Prusy Zachodnie (Westpreussen), i, jako taki, tracił podwójnie na wywozie polskim, skierowanym przez eksport gdański do Europy Zachodniej: pierwsze cło wwozowe, w wysokości 4%, uiszczano władzom pruskim w Fordoniu, a drugie 12% wywozowe pobierali celnicy Fryderyka w Neufahrwasser. Pomimo tych szykan, na Gdańsk szło do 1 350 000 hektolitrów zboża na rok, a przez uprzywilejowane porty Elbląg, Królewiec, Kłajpedę i Szczecin [1]) — 1 115 000 hektolitrów. Szybko natomiast zaczął się powiększać wywóz polski przez Rygę, dzięki bezcłowym postanowieniom rosyjskiego traktatu handlowego z 1775 r. Wywóz ten dochodził do 420 000 hektolitrów zboża na rok.

[1]) Kanał Bydgoski, łączący dopływ Wisły, Brdę, z Notecią — Wartą — Odrą, został zaprojektowany przez Polskę w 1766 r. (memorjał kpt. art. koronnej, Franciszka Czaki'ego), a wykonany, ściśle według tej pracy, przez Prusy po 1-szym rozbiorze.

Reasumując, roczny wywóz zbożowy Rzeczypospolitej w dziesięć lat po 1-szym rozbiorze dał przez porty bałtyckie —

polskie (Gdańsk)	1 350 000	hektolitrów
pruskie (Elbląg, Kłajpedę, Królewiec i Szczecin) . .	1 115 000	„
rosyjskie (Ryga)	420 000	„
razem	2 885 000	„

Spław bałtycki szedł zasadniczo Wisłą do Gdańska i Elbląga, Wisłą—kanałem Bydgoskim — Wartą — Odrą do Szczecina, Pregołą do Królewca, Niemnem do Kłajpedy i Dźwiną do Rygi. Dodać należy, że Polska dostarczała swe zboża jedynie do bałtyckich portów załadowczych, a, nie posiadając własnej floty handlowej, zamarłej od czasów Zygmunta Augusta, nie mogła przewieźć tego zboża do zachodnio-europejskich portów wyładowczych.

Pozostały, sięgający około miljona hektolitrów zboża, wywóz polski szedł na morze Czarne. Tu Rzeczpospolita wyzyskał umiejętnie zarówno kolonizacyjne dążenia Rosji, chcącej jaknajprędzej zaludnić i ożywić stepy czarnomorskie, jak zawarty w 1775 r. traktat handlowy oraz konfigurację polityczną, jaka się wyłoniła po pierwszej wojnie rosyjsko-tureckiej (1769 — 1774 r.).

Katarzyna II realizowała systematycznie program Piotra Wielkiego, nakazujący Rosji utrzymać się na brzegach Bałtyku i uzyskać dostęp do morza Czarnego, które miało stanowić wrota, przez cieśniny Bosforu i Dardanelską, na morze Śródziemne. Zwycięska kampanja 1769 — 1774 r. dała cesarzowej rosyjskiej szereg portów nad morzami: Azowskiem i Czarnem, jak: Azów, Kercz i Kinburn, szerokie zaplecze do tych portów między ujściami Dniestru i Donu oraz wolne przejście dla rosyjskiej bandery przez obie cieśniny. Zagwarantował to układ pokojowy w Kuczuk-Kajnardži

Nastąpił teraz okres intensywnej kolonizacji nowonabytych obszarów, które otrzymały nazwę Nowo-Rosji. Zaludnianie kraju szło szybko, rząd rosyjski zachęcał napływających kolonistów do rolnictwa, lecz nie zapominał o handlu. W parę lat po zawarciu pokoju w Kuczuk-Kajnardżi zostało założone przy ujściu Dniepru do morza miasto portowe Chersoń, przezaczone na główny rosyjski port wywozowy. Wywóz ten, idący przeważnie z zaplecza rolniczego, składał się zasadniczo ze zboża, a Rosji, chcącej nowy port rozwinąć, chodziło bardzo o zwiększenie wywozu. Nastroje rosyjskie wykorzystała bardzo umiejętnie Polska dla zbytu swych produktów rolnych z kresów południowo-wschodnich (ówczesnej Ukrainy przeddnieprzańskiej).

Kresy południowo - wschodnie słynęły z urodzajnej ziemi, czarnoziemu ukraińskiego, i ciągnęły, wobec tego, ludność rolniczą z całej Polski. Tam wyrosły największe fortuny magnackie, jak Koniecpolskich, Potockich, Wiśniowieckich. Konfederacja Barska i zawierucha pierwszego rozbioru przerwały chwilowo intensywny rozwój rolnictwa i chów bydła, jaki tam się odbywał na szeroką skalę, lecz parę lat spokoju i zachęta rządu znów wznowiły pracę. Atoli produkty rolnicze miały bardzo utrudniony zbyt, wobec wielkich odległości zarówno do Gdańska i portów pruskich, jak rosyjskiej Rygi. Zresztą szykany celne Fryderyka Wielkiego zmniejszały w wysokim stopniu cenę sprzedażną, a szlak na Rygę był dość uciążliwy przy braku odpowiednich połączeń komunikacyjnych, łączących Dniepr z Dźwiną. Natomiast szlak ukraiński ku morzu Czarnemu, w danym wypadku na Chersoń, był pięciokrotnie krótszy od drogi na Gdańsk, a czterokrotnie — na Rygę. Szedł on, coprawda, lądem, bo ani Boh, ani Dniepr nie były przydatne do stałej żeglugi handlowej, lecz przewóz lądowy przez suche stepy nie nastręczał wielkich trudności, a opłaty celne dla towarów tranzytowych, idących zagranicę *via* Chersoń, były bardzo zniżone. Jednem słowem, przyłączenie Nowo-Rosji i założenie Chersonia stwarzały dla Polski doskonałe warunki zbytu jej zboża ukraińskiego. Sprawę tę ujął w swe ręce jeden z najwybitniejszych pionierów handlu polskiego, starosta guzowski, Prot Potocki.

Był on człowiekiem miljonowej fortuny, mającym olbrzymie dobra w Lubelszczyźnie i na Ukrainie, bez grosza długu, oraz 6.000.000 zł. gotowizny w bankach holenderskich, a posiadającym w wysokim stopniu zdolności handlowe. Założył on w kraju kilkadziesiąt fabryk, sklepów i kantorw bankierskich. Łączył w sobie rolnika, kupca i przemysłowca. Olbrzymia fortuna dawała mu kredyt, pochodzenie ułatwiało wszelkie stosunki, a nieposzlakowana uczciwość zyskiwała zaufanie powszechne.

Zagadnienie zbytu zboża ukraińskiego do Europy Zachodniej przez morze Czarne interesoło Potockiego osobiście, jako właściciela jednego z największych latyfundjów na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej, a pozatem wskazywało mu na nowe, niewyzyskane dotychczas przez handel polski, dogodne szlaki komunikacyjne. Dla uruchomienia tego wywozu czarnomorskiego wyzyskał Potocki całą swą energję kupiecką i znajomości oraz stosunki. W 1782 r. została założona przezeń w Chersoniu Kompanja Czarnomorska, koncentrująca w swem ręku wywóz zboża polskiego z Ukrainy. W rok później utworzono w Chersoniu polską placówkę konsularną, obsadzoną przez Antoniego Złotnickiego, a mającą pośredniczyć w stosunkach handlowych między Rzeczpospolitą i innemi krajami, zainteresowanemi w ruchu na morzu Czarnem. Wywóz zboża przez Cherson zaczął posuwać się szybko, a sejm 1784 r., widząc w tem coraz większą korzyść Rzeczypospolitej, obniży cło wywozowe do 1%, a przywozowe do 4%. Uchwała sejmowa w 1787 r. obiżyła znów te cła o połowę.

Prot Potocki, mając już swój kantor handlowy w Chersoniu pod nazwą Kompanji Czarnomorskiej, zaczął ściągać tam coraz większe kapitały z kraju i nakłonił najbogatszego nietylko w Polsce, ale w całej Europie północno-wschodniej bankiera warszawskiego Piotra Teppera do otwarcia filji swego domu bankierskiego w tym porcie. Wywóz polski na morze Czarne szedł całą siłą, ale był to tylko wywóz *„fob"* do portu załadowczego. Teraz Potocki, wiedząc już o stałych rynkach zbytu dla zboża ukraińskiego nad morzem Śródziemnem, postanowił przejść na handel *„cif"*, t. j. do portu wyładowczego. Wykorzystał on w danym wypadku nader umiejętnie klauzulę traktatu w Kuczuk-Kajnardżi, pozwalającego bandrze rosyjskiej na przechodzenie przez Bosfor i Dardanele. Częściowo nabył, a częściowo zafrachtował on kilkanaście statków handlowych, które zmonopolizowały cały eksport polski na korzyść Potockiego. Statki te musiały chodzić pod banderą rosyjską[2]), bo inaczej nie mogłyby przejść przez cieśniny, ale stanowiły własność polską.

Wywóz polski przez morze Czarne, który zaczął się od sumy prawie 1.000.000 hektolitrów w 1783 r., wzmagał się szybko pod kierunkiem Potockiego, szczególniej, kiedy ten zastosował system *„cif"* i mógł wybierać odpowiednie porty wyładowcze, między któremi wysunęła się Marsylja. Wywóz ten wzrósł jeszcze bardziej z chwilą wybuchu drugiej wojny rosyjsko-tureckiej (1788 — 1792 r.), kiedy działająca na Bałkanach i Kaukazie armja rosyjska potrzebowała nieustannie transportów żywnościowych. Statki Potockiego przestały wówczas kursować, ponieważ cieśniny tureckie były zamknięte, lecz potrzeby wojskowe zapłaciły z lichwą przerwanie komunikacji z morzem Śródziemnem.

To umiejętne wykorzystanie dróg morskich, z jednej strony na północy przez Gdańsk i Rygę, a z drugiej na południu przez Chersoń, doprowadziło do podniesienia wywozu polskiego przed Sejmem Czteroletnim i podczas jego kadencji. Wywóz ten wynosił wówczas 5.760.000 hektolitrów, a wartość jego dochodziła do 63.000.000 zł.

Ożywił się pozatem wywóz innych produktów rolniczych, jak włókien (lnu, konopi i pakuł), idących przeważnie z Litwy na Rygę i Królewiec, leśnych (drzewa budulcowego, opałowego i stolarskiego oraz potażu, popiołu, smoły, miodu i wosku), których dostarczały lasy podkarpackie, mazowieckie i litewskie, a które szły przeważnie na Bałtyk, wreszcie koni, poszukiwanych dla kawalerji francuskiej, pruskiej i saskiej, i bydła, idącego na rzeź z Ukrainy do cesarstwa i Prus. Łącz-

[2]) Bandera polska, umieszczana stale w atlasach bander światowych, była używana, niestety, do przykrywania obcych kompanij żeglugowych i narażana częstokroć na dotkliwe zniewagi, jak za Augusta II w Indjach Wschodnich.

na suma wartościowa wywozu zbożowego oraz pozostałego, wyszczególnionego powyżej, doszła w pierwszych latach Sejmu Czteroletniego do wysokości 130.000.000 zł. rocznie, biorąc liczbę przeciętną w tych latach. Jednocześnie rozwijający się coraz pomyślniej przemysł krajowy w postaci 300 fabryk dawał możność ograniczenia przywozu fabrykatów zagranicznych i dał nadwyżkę wywozu polskiego nad przywozem obcym w wartości 30.000.000 zł. Bilans obrotu Polski z zagranicą stał się wybitnie czynny i saldo ujemne znikło bez śladu. W związku z tem wzmógł się bardzo wydatnie dobrobyt ogólny i Sejm Czteroletni zastał Rzeczpospolitą zasobną, uporządkowaną i niezależną ekonomicznie. Podstawą tej poprawy gospodarczej było polepszenie rolnictwa polskiego i dążenie Rzeczypospolitej do uzyskania z powrotem zajmowanego w wiekach ubiegłych stanowiska śpichlerza Europy.

Dążenia polityczne nie szły jednak w parze z dążeniami ekonomicznemi. Rzeczpospolita, lawirując między Rosją a Prusami, przechyliła się na stronę pruską, zawierając przymierze odporne z Fryderykiem Wilhelmem II (1790 r.), co wywołało odwet ze strony Katarzyny II, uwieńczony zdradą nowego sprzymierzeńca pruskiego i drugim rozbiorem Polski (1793 r.). Ten drugi rozbiór pozbawił Rzeczpospolitą 250.000 klm. kw. z 3.800.000 ludności na Litwie, Wołyniu i Ukrainie na rzecz Rosji oraz 58.000 klm. kw. z 1.000.000 mieszkańców w Wielkopolsce, na Kujawach i Mazowszu. Zabór pruski obejmował, między innemi, Gdańsk, jedyny port polski na Bałtyku, i Toruń, główny rzeczny port rozdzielczy na Wiśle. Od chwili drugiego rozbioru Polska przestała istnieć *de facto* w Europie, jako państwo, pozostał tylko skrawek w postaci korytarza, łączącego Warszawę z Wilnem i dochodzącego do Krakowa. W dwa lata później zniknął i ten szczątek starej Rzeczypospolitej.

Z chwilą zakończenia paromiesięcznej wojny z Rosją, jaka poprzedziła drugi rozbiór kraju, nastąpiło zupełne załamanie się ekonomiczne Rzeczypospolitej. Nastąpiły najpierw bankructwa wielkich domów bankierskich, jak Teppera, Potockiego, Kabryta i Heyzlera, potem ustał wywóz zagranicę, zahamowany na zachodzie przez Prusaków, a na wschodzie przez Rosjan, wreszcie załamał się przemysł krajowy i upadło rolnictwo. Cały dorobek ekonomiczny, jaki osiągnęło państwo w ciągu lat dwudziestu, prysnął, jak bańka mydlana, w ciągu paru miesięcy. Był to jeszcze jeden dowód więcej, że między ekonomją a polityką istnieje jaknajściślejsza współzależność. Rzeczywiście, po pierwszym rozbiorze warunki ekomiczne nakazywały Polsce kierunek polityczny prorosyjski, bo dzięki traktatowi handlowemu z 1775 r., zgłoszonemu przez Stackelberga, Rzeczpospolita uzyskała możność ekspansji przez Rygę i Chersoń, a tymczasem zwyciężyła orjentacja propruska, choć właśnie traktat Benoit'a dławił stosunki Polski z zagranicą stosowaniem szykan na Wiśle i w Gdańsku. Polscy ekonomiści, ze Stanisławem Staszicem na czele, ostrzegali przed zbliżaniem się do Prus, wykazując, jak Staszic w „Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego" i „Przestrogach dla Polski", że Berlin będzie dążył zawsze do ujarzmienia Rzeczypospolitej drogą nacisku gospodarczego. Niestety, nawet najświatlejsze ówczesne umysły polityczne, jak Ignacy Potocki i Jacek Małachowski, poszły na lep obietnic pruskich.

Okres dziejów polskich między 1773 a 1793 r. jest jeszcze jednem potwierdzeniem ważności sprawdzianu morskiego w życiu narodu. Polska w epoce saskiej zajmowała o 29% większe terytorjum od Stanisławowskiej Polski po pierwszym rozbiorze i miała prawie o 4.000.000 więcej ludności. Natomiast, jeżeli porównać ruchliwość, przedsiębiorczość i dobrobyt za Sasów i za Poniatowskiego, rzuca się w oczy dosłowny uwiąd za Augustów, szczególniej za Augusta III, i pęd żywotny za Stanisława Augusta. Pęd ten odbija się przedewszystkiem w zakresie intelektualnym i ekonomicznym. Jak w jednym (patrz Staszic: „Przestrogi dla Polski"), tak w drugim (inicjatywa Prota Potockiego) zjawia się żywioł morski, żywioł, zapomniany od czasów Sobieskiego. Wykazuje to dobitnie, że ilekroć naród wzmaga się na siłach, tylekroć zwraca się ku morzu.

WITOLD HUBERT

POECI MEDYCCY

(Ciąg dalszy)

III

B e a t a O b e r t y ń s k a nie byłaby poetką medycką, gdyby nie była poetką w s p o m n i e ń: „Pamięć ma twarde życie! Skuli się, zaschnie, uda, że nie żyje, ale niech ją obleci znajomy zapach, kolor czy muzyka, zaraz się odmyka i zakwita cicho jak róża z Jerycho..." Zwracam uwagę Czytelnika, którego uczyli, że w poezji szkodliwe jest wszystko, co ma treść (to zn. treść intelektualną), na poetyczny wdzięk tych wierszy „dydaktycznych", opisujących znany z życia i nauki fakt psychologiczny.

Poetka wraca pamięcią w dzieciństwo i znajduje tam stary sad; z właściwą sobie dokładnością plastycznego widzenia każde tam drzewo ogląda, ale płaczem kończą się te odwiedziny:

„Czemu ty się tłuczesz o ściany, wichrze ty czarnolicy?!
Wiem! ogród sprzedany, sprzedany, na łup wydany ulicy!
Bezbronny wobec przemocy, umierasz tam sam za ścianą,
sadzie, co cię na śmierć wydano,
sadzie, który mię straszysz po nocy!
Mnie też bezbronną, związaną, na pastwę oddano dniom".

Ten ginący stary sad jest tu symbolem samotności bezwzględnej, kiedy człowiek nie ma nikogo na świecie, coby mu przyszedł z pomocą, ni żywych ni umarłych.

Nawet ci najbliżsi, co już po tamtej stronie, niech się o nią nie troszczą, o nią, którą „na ziemi kochali": „Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie — niech nie wiedzą, nie widzą, wyrzekam się ich pomocy".

M a r y l a W o l s k a sama o sobie mówi, że jest szczątkiem kochanej dawności!

„Kocham czar wspomnień! smutny wdzięk dawności,
woń starych dworów, pustki i lawendy,
rozwory wielkich szklanych drzwi — bez gości,
myśl że tak wiele życia przeszło tędy,
życia co płynąc, jak dym się ulatniało —
i żem nie pierwsza tu i nie ostatnia...”

Wzruszenie estetyczne pokazało dno etyczne. I jeszcze raz:

„I zdaje mi się, że w powietrza strudze,
co przez pokoi płynie pustkę wonną,
dech się czyjść ostał, jakieś szczęście cudze,
żal czyjś, tęsknotą gnany tu dozgonną,
coś jakby zapach uwiędłego kwiatu...”

Ale rym do tego subtelnego, estetycznego makabryzmu jest twardo akcentowany i nawskroś etyczny: „Miejsc się kochanych nie puszcza i trwa tu“.

Poetka oddaje się czarowi romantycznemu tej niekreśloności, którą po sobie przeszłość miniona nam zostawiła; ale umie i na wskroś konkretnie, plastycznie, opowiadać o czasach swej młodości, wskrzeszać cichy wdzięk Lwowa owych lat (ostatnia ćwierć w. ub.). Oto jakiś salonik, gdzie „co niedziela wieczorem, od lat, bywaliśmy tam wszyscy, znajomi, dalsi i bliscy, sami tacy, o których wtedy mówiło się jeszcze: rodacy...” Jaka zwięzła i dosadna charekterystyka epoki w tem jednem ostatniem słowie! Tam to, w tym saloniku, sławny lwowski recytator owych czasów deklamował Ujejskiego „Maraton”:

„Grzmiał pan Konopka, a każdy wiedział doskonale,
że nie szło nikomu wcale
o żadne Persy ani stare Greki,
ale o ten, z przestrzeni lecący dalekiej,
czekany uparcie od lat, —
czyjś oddech, radością śmiertelną zdyszany,
niosący wieść o wygranej!...”

Równie szlachetną, jak ostatni ten akord, dyskrecją odznacza się jedyny w tym zbiorze wiersz patrjotyczny:

„Nie mówię o niej nigdy...
...słowa mi się nie dość widzą godne,
by jej niemi sny serca wyznać pierworodne,
bo zbyt dumnie miłuję,
zbyt boleśnie wierzę!“

Jeden z tych w poezji polskiej utworów, z których najmłodsi nasi mogą poznać, jak dla nas, cośmy w epoce niewolnej żyli i dorastali, głęboko prywatną sprawą była ta Polska...

Michał Pawlikowski, prócz owej, napoczątku scharakteryzowanej zabawy krotochwilnej w przeszłość, wypowiada się ze stosunkiem ideowym do przeszłości rodu i narodu. W sonecie „Pamięć“ zaczyna od wspomnień domu ojca i matki, cofa się myślą do dziadów, przez nich skojarzenie z dawną Polską królów, którym dziadowie ci mieczem służyli, wreszcie deklaruje—„dzisiaj ze mną wszystkie czasy stoją, w mem sercu troska serc tysiąca tonie, z nią w przyszłość! Z niej mnie żadne moce nie rozbroją.“

Znowuż jedyny to w „Harfie Eola“ wiersz o aluzjach patrjotycznych: znak dowodny, że tematyka poetycka idzie raczej z innych jakichś, niż etyczne, (ideje, przekonania, działania) pokładów psychiki; a wyrażając to przekonanie krytyk skorzystał już z czegoś, co bynajniej do tekstu *(sacrosanctum* krytyków formalistów!) nie należy, bo ze znajomości osób...

IV

Nie będzie to wcale równoznaczne z zarzutem nieuspołecznienia, jeśli stwierdzę, że poezja medycka ma charakter wybitnie egotyczny, co się nawet wyraziło w tytule jednego cyklu sonetów Pawlikowskiego: „Sonety o sobie”.

Przy sposobności i odrazu wyjaśnienie, co się tu rozumie przez „egotyzm”: właściwie każda poezja jest egotyczną już z natury swej — dlatego, że jeśli poeta mówi o świecie przedmiotowym, to w rozgrzaniu i podnieceniu uczuć, a wtedy człowiek mocno i siebie czuje; uczucia te mogą być zwrócone ku objektywnym wartościom, ale wypowiadane są w pierwszej osobie: „Ja kocham cały naród!” Ten typ nazwałbym subjektywno-objektywnym.

Jest i typ objektywny, np. „Litwo, ty jesteś jak zdrowie!” Poeta o Litwie mówi, nie o sobie, że ona jest jak zdrowie; naturalnie i tu jest subjektywizm, bo Litwa właśnie dla niego, dla poety jest zdrowa — ale to jest tylko domyślne i nie jest akcentowane — a prawdopodobnie zdrowa jest i dla innych Litwinów.

Wreszcie, jest taka poezja: „Smutno mi Boże!” Powiedziałbym, że to poezja subjektywno-subjektywna: Świadome siebie uczucie, nie ku światu, ale ku sobie samemu zwraca się; i to jest właśnie typ egotyczny.

Charakter poetycki M. Pawlikowskiego jest rdzennie euforyczny. To dobre psychofizyczne samopoczucie nie obleka się jednak u niego w formę tak rozlewną, jakby bachiczną i w swej „radosności“ niemal natrętną, jak np. u Wierzyńskiego (z jego młodszych lat), lecz zwarte jest i opanowane, czego dowodem klasyczna, wcale nie żywiołowa, forma, regularne, tradycyjne, „suche” układy (jak u podobnego mu w euforji, dobrego, ale oddawna zamilkłego poety Młodej Polski, Ruffera). W swojem poczuciu mocy poeta odgraża się światu:

„Nie zna mnie nikt —
Niech mnie nikt żartem nawet chwycić się nie męczy,
bo by mu mogło w snopy drzazg połamać dłonie.
Jedne tylko na świecie ręce,
ręce moje, za kark chwyciły burzę nadbiegłą zdaleka!
Sam siebie słucham i sam siebie się nie boję.”

Przy takiej groźnej euforji zrozumiała jest ta selekcja, jaką wyobraźnia poety wykonywa w stosunku do widowisk przyrody: Niema tu, tak lubych poetom północy, mgieł ni szarug; kiedy deszcz pada, to już niech to burza będzie potężna, wielkie, prostotne, klasyczne, widowisko! A najserdeczniejszym jego liryzmem jest liryzm światła, rozlanego w wielkiej przestrzeni. — Oto obraz ziemi pracowitej, którą dwoje wielkich zwierząt orze, dwa twarde woły, uzmysłowienie spokojnej siły, a nad ziemią, na niebie

„furja płomienna wiosny! jak lwy niecierpliwa —”

Piękna to synteza w tym krajobrazie dwu typów euforji: statycznego i dynamicznego.

Nie dziw, że charakter poetycki, tak w sobie zdrowy, tę właśnie miłość wychwala, która do Ładu przynależy, małżeńską:

„Jakiejż mirry wonią cię odymię?
Jakąż pieśnią pochwalę twe imię?”...

Egotyzm? Tak, ale w swem najwyższem, zenitowem już przesileniu...

(Dok. nast.) KAROL LUDWIK KONIŃSKI

NA WIDOWNI

„Droga przez wieś” Wincentego Burka.—Dawne i nowe spojrzenie na chłopa. — Lud i staropolszczyzna. — Bezwiedna prawda.

Z RADOŚCIĄ, z upodobaniem czytałem książkę Wincentego Burka, tom opowiadań z życia chłopskiego p. t. „Droga przez wieś”[1]). Talent, rzetelny talent!—rzadko zdarza się, poznając pierwsze dzieło młodego pisarza, odnieść wrażenie tak niezawodne, tak bez zastrzeżeń dające się ująć w tę, nie budzącą wątpliwości, konkluzję.

Oczywiście, nie posiada utwór Burka monumentalnych cech „Placówki” Prusa, ani potęgi tragicznej „Szkiców węglem”. Nie posiada wspaniałej barwności „Chłopów” Reymonta, tak wyrazistych jako wielkie malowidło życia przyrody oraz jej cząstki nieodłącznej— człowieka. A przecież są w nowelach Burkowych jakieś wartości własne, które zaciekawiają, odrębny ton, który, dla mnie przynajmniej, czyni ten obraz wsi—czemś bliskiem, trafiającem do przekonania, zrozumiałem.

Powiedziano gdzieś, że Burka należy czytać, ponieważ przedstawia wieś dzisiejszą, powojenną, która zupełnie nie jest podobna do tej dawnej, ukazywanej niegdyś przez Reymonta i Prusa. Nie w tem jednakże jest, jak sądzę, sedno rzeczy. Wydaje mi się, że nietyle wieś się zmieniła, ile myśmy się zmienili, że w starej wsi rozglądamy się obecnie świeżem okiem i dlatego ten jej nowy wizerunek nas interesuje. Ale ta myśl wymaga bodaj nieco dokładniejszego rozwinięcia.

Ostatnie pokolenie Polski w niewoli, zwracając się z miłością i nadzieją do chłopa, najwięcej ceniło w nim jego niehistoryczność, to, że był niejako tworem przyrody, tworem pozadziejowym—i na tem właśnie opierało przedewszystkiem najoptymistyczniejsze swoje rachuby. Skoro — mniemano—szlachta zgubiła Polskę, skoro w tradycjach dawnej Rzplitej widziano śmiertelną truciznę, szczęściem stawało się, że istniał lud, tem dziedzictwem złowróżbnem nie obarczony, a wobec tego zdolny odzyskać to, co stracono. W tych nastrojach rodziły się takie myśli, jak w głośnym w swoim czasie artykule J. L. Popławskiego („Dwie cywilizacje”, r. 1886), który uzasadniał tezę, że kultura warstw uprzywilejowanych (szlachecka) i ludowa różnią się od siebie u fundamentów: nietylko ilościowo, lecz jakościowo. Stąd w psychologji chłopskiej doszukiwanie się uporczywe tych znamion, które czyniłyby ją niejako przeciwieństwem „charakteru polskiego” w popularnem, tradycyjnem jego pojęciu, jako „wad narodowych”, obciążonych odpowiedzialnością za klęskę. Szukano w chłopie polskim prymitywu, zachwycano się nim jak egzotyzmem rezerwatu, zdrowiem natury pierwotnej, co przezwycięży zaszczepione przez historję jady choroby.

Obecnie odmiennie zaczynamy spoglądać na przeszłość, patrząc na lud, dostrzegamy też potrosze to właśnie, co historyczne, co zachował on z kultury Polski dawnej, żywe wciąż, podczas kiedy u warstwy oświeconej często nader stało się blaknącem już tylko wspomnieniem. I pod tym względem „Droga przez wieś” ukazuje widoki, na które warto jest rzucić okiem.

Przedewszystkiem: mowa. Nie jest to bynajmniej ów język „Chłopów” Reymontowych, którym w żadnej okolicy nie mówią, ów jakiś język „ogólno-chłopski”, gdzie z różnych gwar zestawiono najbarwniejsze odrębności, by wspaniałością tego przepychu kolorów zatriumfować nad jałową szarzyzną inteligenckiego słownictwa. Mowa Burka, to autentyczny dialekt sandomierski, którym od wieków posługuje się jego wieś rodzinna, który on sam ma we krwi, zna od dziecka, i którym włada z najzupełniejszą pewnością i swobodą. Jak bardzo bliski okazuje się niekiedy ten język polszczyźnie Kochowskich i Pasków!

Zwrócę uwagę na jeden rys ciekawy, na jakieś, jakby z siedemnastego stulecia latynizmy, od dawien dawna już w mowie t. zw. „warstw górnych” wycofane z użycia, zapomniane. Tak więc chłopi w „Drodze przez wieś” raz po raz się „symitują”, nie troski dręczą ich, ale „turbacje”, dziewczęta „w deces popadły” z powodu braku „kawalirów”, a gdy ma kto coś rzec krótko i zwięźle, to „gada... poprostu i brewider”! Wynotowałem kilka przykładów na „chybi trafi”, znalazłoby się o wiele więcej.

Ale nietylko słownik,—cały typ życia, pojęć, obyczaju, odmalowany w opowieściach Burka, ustawicznie zwraca nas w świat staropolszczyzny i jej kultury. Jakże znamienny jest naprzykład ów „hunur”, „ambit” potomka osiadłych pokoleń”, taką ogromną odgrywający rolę w psychice bohaterów tej książki! Jak tradycjonalistyczna jest ich religijność, i w swojej odmianie płytszej, jakgdyby żywcem z „sarmatyzmu” saskich czasów przeniesionej bigoterji (stary Płaza w noweli „Jedynak”) i w swej głębokiej, chrześcijańskiej kulturze moralnej, uosobionej w postaci Siwego Kaźmirza! Burek ukazuje go raz, kiedy w wielkiem strapieniu powtarza w myśli dwuwiersz starodawnych „Godzinek”; „widać“-dodaje-„te słowa dobrze przylegały do jego frasunku”. Istotnie, czyż jest to przypadek bez znaczenia, że najgłębsze przeżycia religijne polskiego ludu od wieków są wyrażane psalmem Kochanowskiego, pieśniami pobożnemi Karpińskiego, rymem i rytmem, już dziś tylko pod strzechą przechowywanych, staro-szlacheckich kantyczek i kolend?

A z drugiej strony: humor. Wszak anegdota o tem, jak zmyślna baba zażartowała z natrętnego komornika — to klasyczny przykład fraszki, opowiedzianej prozą, lecz wesołością, typem swawoli, jakże pokrewnej układanym niegdyś „przy pełnym dzbanie“ dla „ochoczych kompanów” epigramatom.

Oczywiście, Burek nie myślał o tem wszystkiem, tworząc swą książkę, może nawet zadziwi się niemało, gdy przeczyta powyższe wywody. Ukazywał, poprostu, prawdę, tak jak ją czuł i widział dokoła siebie, nie on to sprawił, iż rzeczywistość taka jest właśnie, a nie odmienna.

Ale przecież trudno nie mieć wdzięczności dla autora, że w tej „drodze przez wieś”, którą nas powiódł, rozpoznajemy zdawna znajome nam szlaki wielkiego dziejowego gościńca.

JAN REMBIELIŃSKI

[1]) Wincenty Burek: „Droga przez wieś”, Warszawa 1935. Tow. wyd. „Rój”.

GŁOSY

W ROZGWARZE WIELKIEJ POLITYKI tracimy nieraz z oczu wypadki interesujące, które nawet czuła na wszystko prasa notuje zwykłym petitem. Oto dnia 15-go sierpnia wchodzi w życie nowela do prawa przemysłowego, która kasuje związki cechów poszczególnych gałęzi polskiego rzemiosła.

Lata ostatnie rządów pomajowych wiele zniszczyły odwiecznych instytucyj, utrzymujących ciągłość naszego życia cywilizacyjnego. I tak dokonały powoli zamachu na ustrój miast, oraz najistotniejsze tego ustroju przejawy — związki i zrzeszenia mieszczańskie. Przyjrzyjmy się procesowi likwidowania cechów rzemieślniczych.

Bogate życie samorządów cechowych obejmowało wykształcenie zawodowe, oparte na zasadzie hierarchji i kompetencji, pieczę moralną nad młodszą bracią — czeladnikami i terminatorami, regulowanie spraw gospodarczych oraz rozsądzanie sporów wewnętrznych.

Przed kilku laty uczyniono pierwszy zamach na wykształcenie zawodowe, odbierając cechom prawa egzaminów na czeladników i mistrzów. Uderzono w rzecz najistotniejszą — podstawę etyki zawodowej, podrywając zaufanie kupujących do znaku majsterskiego, gwarantującego solidność wykonanej roboty. Czuliśmy wszyscy, iż za tem kryje sie tłum partaczy żydów, odgrodzonych od życia polskiego rzemiosła murem tandety i wstrętu do obcej nam, na pouczeniach Talmudu wyrosłej niesolidności. Wkrótce potem samo życie zniszczyło rozsądzanie sporów wewnętrznych, oddając je w ręce sądów państwowych. Było to ostrzeżenie, iż wewnątrz cechów źle się dziać poczyna. Teraz znowu zredukowano jeszcze jedną zasadniczą funkcję — regulowanie spraw gospodarczych. Przekazane one będą kołom branżowym przy społecznych związkach rzemieślniczych. Jasna rzecz, że tak okaleczona instytucja cechu straciła swą wartość i moc autorytetu. Pozostały jedynie oznaki zewnętrzne, akcesorja dekoracyjne, dzisiaj — niestety—wobec takiego stanu rzeczy zabytki raczej muzealne... Tylko czekać formalnej likwidacji, bo faktyczna już następuje. Jak donosi prasa: „...niebawem spodziewane jest ukazanie się rozporządzenia ministerstwa w tej sprawie".

Przyglądając się temu wszystkiemu, zapytujemy się — *cui bono* robi się to wszystko?

Rozumiemy dobrze, iż życie idzie naprzód i arkebuzy należało zastąpić karabinami skałkowemi, a te skolei nowoczesną bronią szybkostrzelną. Ale czyż cech stał się rzeczywiście przeżytkiem, podobnie jak muszkiety czy berdysze?

I tu stanowczo należy powiedzieć — nie! Cech jest idealnie niemal pojętą instytucją dla nowego życia, tem bardziej wartościową, iż wypróbowaną i korzeniami tkwiącą w setkach lat naszego życia historycznego. Nie dostrzegają tego ludzie dzisiaj rządzący, psychiczni staruszkowie, tkwiący w pojęciach, które już stają się bezspornemi przeżytkami. W pędzie ku tworzeniu „państwa totalnego" poza narodem, konsekwentnie likwidują ów naród, pełnię jego życia, przerabiając go na zbiór obywateli, połączonych z sobą jedynie więzią... paszportową, zapisaniem we wspólne księgi... meldunkowe. Nic tu nawet nie wskórają przypomnienia tym, którzy się z dumą mienią „niepodległościowcami", iż życie rzemieślnicze w Polsce było ostoją wysiłków i poświęceń na rzecz niepodległości. Od powstania wielkoczwartkowego roku 1794-go pod wodzą Kilińskiego i Sierakowskiego, poprzez obronę Warszawy przed Prusakami, armje Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, których szeregi rekrutowały się z pośród młodzi rzemieślniczej, poprzez zdobywanie arsenału w noc listopadową 1830-go roku, manifestacje lat sześćdziesiątych pod kierunkiem szewca Hiszpańskiego, powstanie styczniowe, aż do ostatnich lat mnożą się dowody gorącego, żarliwego patrjotyzmu. Czasy ostatnie dopiero—za to wszystko—równą miarką poczęły traktować Polaków i żydów. Zrównały początkowo pojęcie rzemieślnika i partacza, solidnej roboty i tandety. W dalszym, niszczycielskim zapędzie doprowadzają do faktycznego unicestwiania instytucyj cechowych, tak, że czekają już one bodaj likwidacji.

Wkrótce ma nastąpić odsłonięcie pomnika Jana Kilińskiego. Uroczystość odbędzie się zapewne według ostatnio utartego szablonu. Czy urozmaicą ją barwne sztandary cechowe, świadectwa starej, wielkiej cywilizacji, dowody pełni naszego narodowego życia?

WYCHOWANIE NARODOWE

OBECNE POŁOŻENIE HARCERSTWA

(DYSKUSJA)

ANI SIĘ człowiek obejrzał, jak upłynęło ćwierćwiecze istnienia w Polsce harcerstwa (skautingu). Patrzyło się na jego skromne, ale entuzjastyczne początki we Lwowie. W szeregach harcerstwa, na żyznym gruncie ogólnie odradzającego się ruchu narodowego zakwitało pokolenie, które niebawem poddać się miało próbom w walce o byt niepodległy narodu i młode życie za tę sprawę krwawym pokosem złożyć. Obecnie na jubileuszowym zlocie (międzynarodowym) w Spale ogłoszono uroczyście, wobec 28 tysięcznych zastępów harcerstwa i przez radjo całemu światu, zgórą 800 nazwisk młodzieży harceskiej, która legła za Polskę na polu chwały.

Nie było wtedy przy kolebce harcerza polskiego tych ludzi, którzy teraz, w imię potrzeb politycznych, zajęli się oficjalnie hodowlą harcerstwa. Te początki były piękne nie liczebnością zastępów, zasobem środków, wspaniałością rewij; upamiętniły się nabożnym patrjotyzmem.

Wziąwszy skądś z Anglji hasło organizacyjne i pewne formy, które wówczas były nowością, włożono w nie to, co było najcenniejszego w tem pokoleniu — głęboko odczuty program odrodzenia ideałów narodowych. Taiło się w odczuciu tej potrzeby nowego wychowania przeczucie, że nadchodzą czasy wielkich zadań dla tego najmłodszego pokolenia. Tradycje tych czasów opromieniły obecny obchód 25-lecia swoim urokiem wewnętrznym; reminiscencje były najcenniejszym momentem tego wspaniałego zlotu.

Zlot ten istotnie wspaniały był swą liczebnością (około 30.000!), ale trudno sie dziwić, że wy-

wołał uwagi krytyczne ze strony tych sfer, które harcerstwu polskiemu dawały początek. Samo miejsce zlotu i charakter oficjalny obchodu budzić musiały refleksje, że jednak zaszła wielka zmiana w charakterze organizacji. Owa samorzutność wysiłku moralnego społeczeństwa ustąpiła miejsca kierownictwu czynników państwowych, co musiało uczynić z organizacji instrument polityczny. Charakter ten dobitnie na zlocie był manifestowany. Ponieważ zaś najdrażliwszą dzisiaj kwestją polityczną w kraju jest wyłączność partyjna grupy, nadającej kierunek polityce, nic dziwnego przeto, że opinja narodowa powzięła wątpliwość, czy istnieje gwarancja zachowania tego narodowego kierunku, który od początku harcerstwu był nadany i którym zlot obecny tak się chlubił.

Wątpliwości te pogłębił fakt nacisku, położonego na międzynarodowość organizacji. W społeczeństwie polskiem panował oddawna krytyczny pogląd na masońsko-protestancki charakter skautingu angielskiego. Dzisiaj krytycyzm ten wzrósł, na wszystkich bowiem polach pogłębiło się rozumienie konieczności samodzielnych, rodzimych poczynań kulturalnych. Nie mogło więc ujść uwagi, że harcerstwo, znakomicie rozwijające się zewnętrznie, znalazło się w położeniu nowem i na rozdrożu przy bardzo nikłych szansach, aby dalsza droga jego rozwoju znalazła się na linji prostej, określonej jego początkami i pragnieniem społeczeństwa polskiego.

Tem się tłumaczy stanowisko J. Giertycha, jednego z najwybitniejszych ideologów wychowania harcerskiego, zajęte w „Warsz. Dzienniku Narodowym" (z 15.VII) w artykule p. t. „Harcerstwo w dzisiejszej postaci jest raczej szkodliwe, niż pożyteczne". Jeden z kierowników harcerskiej drużyny na prowincji, wierzący w siłę ducha narodowego, który wszystko wchłonie, przemoże i nurt swój utrzyma, z powodu artykułu Giertycha nadesłał do „Myśli Narodowej" list, zasługujący na uwagę. Przytoczę z niego ważniejsze ustępy, aby w dyskusji na tak doniosły temat wszystkie stanowiska były dla opinji orzekającej jasne.

Autor listu wysuwa argumenty rzeczowe i każe liczyć się z faktem już dokonanym, który według niego posiada tyle żywiołowości, że zdolny będzie wchłonąć i zneutralizować uboczne, narzucane harcerstwu tendencje.

Przedmiotem dyskusji — pisze — jest Związek Harcerstwa Polskiego, instytucja, jak dotąd, najczyściej polska, skupiająca w sobie rzeszę przeszło stu tysięcy młodzieży szkolnej obojga płci i to młodzieży najbardziej doborowej, a ponadto kilkanaście tysięcy starszyzny harcerskiej i działaczów, zrzeszonych w kołach przyjaciół harcerstwa. Instytucja ta wykazuje przytem tendencje żywiołowego rozrostu. A zatem jest to objekt społeczny i narodowy pokaźny, rozmiarem zewnętrznym i wewnętrznym dorównywający niemal armji lub szkolnictwu, zasługujący na tem większą uwagę, że faktycznie nie jest na etacie państwowym, jak tamte organizacje lub Strzelec, lecz rośnie i rozwija się sam, czerpiąc większość sił bezpośrednio ze społeczeństwa.

Harcerstwo skupia młodzież wyłącznie polską i to doborową. Wyłączność polska nie ulega narazie wątpliwości, istniejące statuty i faktyczny stan rzeczy wyraźnie na to wskazują. Doborowość młodzieży polega na tem, że harcerzem można zostać tylko po złożeniu przyrzeczenia, które należy tu przytoczyć w całości: „Mam szczerą wolę całem życiem pełnić służbę Bogu i Polsce; nieść chętną pomoc bliźnim; być posłusznym prawu harcerskiemu". — Prawo harcerskie obejmuje w dziesięciu punktach nakazy: służenia Bogu i Polsce, prawdzie, bliźnim, miłości przyrody, posłuszeństwa rodzicom i przełożonym, oszczędności, zachowywania czystości w myśli, mowie i uczynkach, a wreszcie abstynencji od tytoniu i alkoholu. Aby danego przyrzeczenia dotrzymać (a kontrola w młodej społeczności jest baczna), — trzeba istotnie należeć do elity młodzieży.

Co do kierownictwa tego wspaniałego doboru młodzieży, t.j. co do tych kilkudziesięciu starszyzny i działaczów z kół przyjaciół harcerstwa, można rzec, iż zasadniczą cechą tej kategorji członków związku jest ich polskość, a następnie praca ideowa bez wynagrodzenia w jakiejkolwiek bądź formie. Jeśli idzie o skład, uderza przedewszystkiem bardzo znaczna ilość księży, zarówno na organizacyjnie przewidzianych urzędach kapelanów na każdym niemal szczeblu, jak i wśród szeregowych członków (nie wspominając już dla krótkości wykładu o licznym zastępie księży wśród gromad harcerstwa). Jeszcze liczniejszą grupę (gros) stanowi nauczycielstwo, pozatem wchodzą do organizacji harcerskiej ludzie wolnych zawodów, w ostatnich latach znaczna ilość oficerów. Urzędników państwowych (pomijając licznych reprezentantów resortu oświaty) niema prawie wcale, zwłaszcza jeśli chodzi o resort spraw wewnętrznych.

Charakterystyka obecnych kadrów harcerstwa byłaby niezupełna, gdyby pominąć znamienny fakt, że wśród kierownictwa znajduje się pewna ilość ludzi z obozu opozycyjnego i ci nie znajdują narazie utrudnień w swej działalności. Taka sama zachowawczość daje się zauważyć również w innych dziedzinach pracy harcerskiej. Naprzykład z pietyzmem uprawia się kult polskich założycieli harcerstwa, tradycje bohaterskiego okresu wojennego pielęgnuje się troskliwie i w sposób głęboko wzruszający.

Kierownictwo obecne zaznacza się dalej w projektach poniechania ekskluzywności narodowej związku. Znane są zamiary stworzenia takich form organizacyjnych, któreby umożliwiły dostęp do harcerstwa żydom i innym narodowościom nie polskim. Otwarcie drogi dla żydów w jakiejkolwiek bądź formie nie jest dla nas do pomyślenia, a prawdopodobnie nie jest także do wykonania przez kierownictwo obecne, jeśli się nie chce narazić harcerstwa na upadek i rozłam. Dlatego należy oceniać ten projekt jako nierealny, a w miarę upływu czasu, pracującego wyraźnie przeciw tego rodzaju pomysłom, jako zupełnie nierealny.

Razi nas również gorliwość, z jaką kierownicy harcerstwa oddają się pod rozkazy międzynarodowej władzy skautowej i wysłuchują anonimowych dyrektyw. Z naszemi pojęciami nie godzi się bezwarunkowo żadne łączenie się poszczególnych części, czy warstw narodu, w międzynarodowe związki. Jest to błąd zasadniczy i domagający się naprawienia, jednakże nie należy przeceniać jego szkodliwych skutków w praktyce.

Natomiast zarzut rzekomo coraz intensywniejszego przejmowania wzorów i metod obcych w pracy polskiego harcerstwa jest całkowicie niesłuszny. Można zaryzykować twierdzenie, że Skauting z okresu Małkowskiego był bardziej angiel-

ski, niż jest obecnie. Harcerstwo dzisiejsze zatrzymało w sobie wszystkie cechy początkowej oryginalności własnej, a więc wymienimy przedewszystkiem nakaz abstynencji (obcy skautingowi angielskiemu), dodało zaś cały szereg nowych, najzupełniej rodzimych wartości. Wśród nich najwybitniejszą jest sposób traktowania zasadniczego „fachu" harcerskiego, jakiem jest obozownictwo w całem szerokiem pojęciu tego słowa. Mianowicie nasi harcerze uprawiają obozownictwo naprawdę, nie zaś na sposób miastowy, hotelarski, komfortowy, jak to już jest wszędzie prawie na Zachodzie. Niema tu miejsca na wytłumaczenie tej różnicy, dobrze znanej bywalcom różnych „*jamboree*" oraz skautom zagranicznym, którzy uczą się od nas wiele i licznie odwiedzają w tym celu nasze kursy instruktorskie. Przy tej sposobności należy kategorycznie zbić mylny pogląd na system obozu w Spale, gdzie jakoby panuje „elektryfikacja, industrjalizacja, racjonalizacja i... biurokratyzacja". Owszem, w obozie spalskim jest elektryczność, są telefony i wodociągi, jest dzielnica handlowa, ale wszystko to stworzono właśnie poto, by drużyna z Uściługa i drużyna z Krotoszyna mogły obozować bez elektryczności wśród szczerego lasu, mieć przestrzeń, ciszę i bezpieczeństwo na czas dwu tygodni. I nie były skoszarowane w wyrównanych pod sznurek namiotach, jak np. w Pradze. A takich drużyn w Spale są tysiące.

Dalszą wybitną wartością rodzimą w naszem harcerstwie są metody organizacji zuchowej, coś jakby „przedszkola" dla harcerstwa. Metody te idą od nas w świat.

Od zagranicy różni nas wreszcie zasadniczo wojskowy duch harcerstwa, który przejęliśmy w spuściźnie po okresie „bohaterskim" i przedwojennym skautingu w stanię niezmienionym. Duch ten wyraża się w mustrze i w karności. Duch ten, w połączeniu z szeregiem „sprawności" harcerskich, sprawia, że harcerstwo znakomicie przysposabia do służby w wojsku i w polu. Nie trzeba dodawać, że nie sposób nawet porównać wartości przysposobienia wojskowego przez harcerstwo, z przysposobieniem przez „Strzelca", lub kobiecą organizację „Przysposobienia do obrony kraju".

Istnieje wiele oznak, niewymienionych tutaj a dosyć ważkich na to, by mówić z dumą, że to polskie harcerstwo wywiera pewne wpływy na metody pracy skautowej w wielu krajach, zwłaszcza sąsiednich. Ten motyw właśnie rozgrzesza w pewnej mierze przynależność do związku międzynarodowego, a w każdym razie osłabia szkody, płynące z tej przynależności.

Jest rzeczą niewątpliwą, że źródło, z którego harcerstwo polskie wzięło swój początek, a więc źródło purytańsko-protestanckiej cnoty, pozostawiło na indywidualnem wychowaniu harcerskiem swoje piętno negatywne i egoistyczne. Dziedzina ta będzie wdzięcznem polem do pracy reformatorskiej. Jednakże i przy dzisiejszych wadach wychowawczych byli harcerze wyróżniają się w społeczeństwie wybitnemi wartościami duchowemi i fizycznemi. Zarówno oficer, jak i ksiądz, lekarz, inżynier, policjant (jest wielu takich), każdy były harcerz jakiegokolwiek innego zawodu — są (oczywiście z wyjątkami) ludźmi pełnej i wielkiej wartości.

Nie można więc z czystem sumieniem orzekać, że harcerstwo obecnie jest „szkodliwe".

Tyle autor listu. Zamieściliśmy jego głos ze względu na dobrą wiarę, która mu tę obronę dyktowała i ze względu na dane informacyjne, w niej zawarte. Przemawia przez niego zawodowiec, w robocie zamiłowany i optymista, głęboko wierzący w siłę uzdrawiającą ducha narodowego, który opiekuńczo czuwa nad zastępami harcerzy. Publicysta narodowy musi jednak rozpatrywać zjawisko w szerszem polu stosunków i przewidywań. Obecna polityka naczelnego kierownictwa jest ostrożna, liczy się z tradycją i z faktem, że za setką tysięcy harcerstwa stoi opinja narodowa, która każdej chwili może młodzież z szeregów wycofać. Jest w tem pewno niemało taktu ze strony woj. Grażyńskiego. Nikt jednak temu nie zaprzeczy, że również każdej chwili kierownictwo w swym składzie personalnym może ulec zmianie i to, co dzisiaj budzi tylko obawy, stanie się jaskrawym faktem. Nie należy więc osłabiać czujności.

Niema żadnych podstaw mniemanie, jakoby w obecnym układzie stosunków politycznych mógł kto inny dawać kierunek ideałom wychowania, niż ci, którzy tworzyli Strzelca, Legjon Młodych i Straż Przednią. Niczego wyjątkowego dla harcerstwa spodziewać się nie można. W obecnej dobie w kołach, decydujących o kierunku prac wewnętrznych w kraju, panuje taki chaos, że trudno się dziwić złudzeniom tych, którzy pogląd na stan rzeczy czerpią z jakichś fragmentów. Nie mogą jednak oni brać na siebie odpowiedzialności za trafność przewidywań.

Słyszeliśmy przez radjo mowy kierowników, wygłaszane na uroczystym zlocie. Mówiło się tam gromko, jak na wiecu, o wielkich zadaniach społecznych i narodowych, leżących przed młodzieżą, przyczem mocno brzmiały struny entuzjazmu narodowego, jakby ci przyszli obywatele jutro mieli w pospolitem ruszeniu rzucić się do pracy publicznej. A przecież wiemy z obrotu spraw w ostatnich kadencjach ustawodawczych, że na takie pospolite ruszenie bynajmniej się nie zanosi. Trzeba więc odróżniać słowa od rzeczy, słowa potrzebne nieraz do zasłaniania rzeczy.

Niema najmniejszych danych do przypuszczeń, że na drugi plan zejdą tendencje oddawania spraw wychowawczych pod kierunek czynników kosmopolitycznych. Autor listu się łudzi, że czynniki te, mające oparcie na żydostwie, wyrzekną się swego programu i cofną się od zamiaru wprowadzenia żydów do harcerstwa.

Słowem na zjawisko, o którem tu mowa, patrzeć trzeba ze stanowiska ogólniejszego, jako na pole eksperymentalne jedno z wielu. Przyszłość pomyślna na tem polu zależna jest od całości spraw narodowych, jaki obrót wezmą.

W

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Upton Sinclair: „Pielgrzymka miłości", przekład Antoniny Sokolicz, Warszawa 1935, T-wo Wydawnicze „Rój". Str. 286.

Powieść Sinclair'a opowiada dzieje człowieka, który chce być genjuszem, otwierającym nową epokę. Ale, aby tego dokonać, chce przestać być człowiekiem. Wszystko bo-

wiem, co jest zwykłem zagadnieniem ludzkiego życia, jak walka o byt, walka o zdobycie ekspansji twórczej, zwykła, ludzka miłość, której owocem jest założenie rodziny — to wszystko jest dlań niesprawiedliwością losu, okrucieństwem, które hamuje jego dążenie do osiągnięcia zamierzonego celu. Bohater Sinclair'a zmaga się z podwójnym potrzaskiem, który go gnębi coraz dotkliwiej—potrzaskiem urządzenia świata, w którym człowiek musi walczyć o swój byt w znaczeniu materjalnem i w znaczeniu możliwości duchowej ekspansji i potrzaskiem biologicznej natury człowieka, która mu każe zakładać rodzinę i podtrzymywać gatunek.

Thyrsis, bohater powieści, dąży do ideału. Do osiągnięcia jakiejś doskonałości, jakiejś idei, które zresztą nie są dokładnie określone. Widać tylko, że w dążeniu do tego ideału największą przeszkodą jest dlań to, że jest człowiekiem i że żyje między ludźmi. Ale sam człowiek jest dla autora powieści nieludzki. Nieludzki, ponieważ jest zarazem duchem i ciałem, a przecież wiadomo, że duch to coś nieziemskiego, a ciało to coś zwierzęcego. Zatem człowiek Sinclair'a jest rozdarty na dwie części. Biologiczny instynkt płciowy jest dla Thyrsisa czemś przerażającem, siłą tajemną, która w nim tkwi, a przecież nie jest nim samym. Jest jedną z macek potrzasku natury.

Książka Sinclair'a, o której mowa, to dopiero część pierwsza. Na ostatniej stronie zapowiedziana jest część druga. Ta pierwsza część jest bodaj tylko wytknięciem zagadnień, naszkicowaniem wątków i ich zawikłania. Rozwiązania spodziewać się należy w części drugiej. Wtedy też można będzie powiedzieć coś więcej ponad te ogólne wrażenia.

Tłumaczenie p. Antoniny Sokolicz naogół dobre. Mówię to jednak jak człowiek, który, po okresie wielkich mrozów, cieszy się pięciostopniowym mrozkiem i mówi „ach, jak dziś ciepło". Opuszcza nastawiony kołnierz, ale po pewnym czasie, czuje uprzykrzone szczypanie w uszy. Takie drobne szczypania odczuwa się dosyć często, czytając omawianą książkę. (J. G.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wyszło świeże dzieło Bernarda Fay'a, profesora „Collège de France", p. t. *„La Franc — Maçonnerie et la Révolution intellectuelle du XVIII siècle"* („Masonerja i rewolucja umysłowa XVIII wieku"). Punktem wyjścia badań autora nad rozwojem i ustrojem masonerji francuskiej jest przyjęcie faktu, iż wolnomularstwo jest organizacją międzynarodową pochodzenia angielskiego. W Anglji, t. j. w kraju, który zrobił swoją rewolucję, masonerja jest dynastyczną (hanowerską), konserwatywną, patrjotyczną, popiera ona króla protestanta przeciw pretendentowi katolickiemu, rząd wspólny szlachty i kupców przeciw marzeniom reakcyjnym absolutystów wygnanych. We Francji natomiast, gdzie rewolucja nie została dokonana, masonerja przybiera charakter wręcz przeciwny: narzędzia niewiary i ateizmu przeciw Kościołowi panującemu, opozycji arystokratycznej przeciw monarchji absolutnej i administracyjnej, narzędzia buntów jurydycznych przeciw Ludwikowi XV-mu, wreszcie ogniska intryg młodszej linji panującej, a następnie idej reformistycznych oraz rewolucyjnych. Autor idzie, krok za krokiem, po drodze postępu masonerji we Francji pod rządami wielkich mistrzów: księcia d'Antin, księcia de Chartres, wreszcie przyszłego Filipa Égalité; przedstawia działalność masona Monteskjusza oraz masonów redagujących „Encyklopedję", wykazuje rozkładową działalność masonerji w stosunku do katolickiej i monarchicznej cywilizacji starej Francji oraz jej komiwojażerską rolę w stosunku do racjonalistycznej cywilizacji ówczesnej Anglji.

Badając działalność Lóż francuskich, prof. Fay szkicuje ewolucję wewnętrzną masonerji i konstytucję Wielkiego Wschodu, kontynuując tu pracę swoich poprzedników: A. Cochin'a i G. Bord'a. Masonerję książąt zastępuje powoli, podczas Rewolucji, masonerja burżuazji; zabiła ona króla, a z nim także szlachtę. Gdy podczas Cesarstwa Loże się ożywiły, zatrzymały się one na niższym jeszcze poziomie społecznym, intelektualnym i moralnym, skład ich osobisty stał się skromniejszy, doktryny płytsze, ambicje nędzniejsze (cóż mówić o dzisiejszym ich stanie). Książkę swoją streszcza sam autor w następujących słowach: „Masonerja XVIII-go w. stworzyła ducha rewolucyjnego, który dokonał rewolucji, ta zaś stworzyła nową masonerję". (W. J.)

TEATR

LUDZIE W BIELI

Teatr Polski przeistoczył się w szpital. W olbrzymią, ultranowoczesną amerykańską klinikę z kolosalnym amfiteatrem, wobec którego uniwersytecki amfiteatrzyk wykładowy w szpitalu św. Ducha (widziałem go parę lat temu) wydaje się minjaturką.

Przed przedstawieniem, mając interes do sekretarjatu, zaszedłem do zakulisowej części gmachu. W klatce schodowej i na korytarzach, spotykałem co krok lekarzy w białych kitlach, pielęgniarzy w fartuchach i urocze „siostry"—pielęgniarki. Grały one (nawet za sceną!) role swoje tak naturalnie, krzątały się tak po szpitalnomu, że serce zaczęło mi bić w tempie przyśpieszonem. Musiałem przed drzwiami kancelarji na chwilę przystanąć, żeby ochłonąć ze wzruszenia. Parę tygodni temu płukano mi nerki. Przeszedłem zabieg ów dosyć ciężko. To też, natknąwszy się nos w nos na p. Warnackiego w białym ubiorze chirurga, omal nie uciekłem. Co za mina! Co za gesty! Łapiduch w każdym calu.

Jeszcze w kwadrans później, podczas pierwszego aktu, siedząc w wygodnym teatralnym fotelu czułem się niezupełnie swojo. Słuchałem pogawędki lekarzy na scenie z roztargnieniem. Nie mogłem długo odpędzić natrętnej myśli, że lada chwila podejdzie do mnie bileter i zawezwie mnie za kulisy na... cystoskopję.

Na szczęście na scenie zaczęto deklamować o wzniosłości medycznego zawodu Wiedzy przez wielkie W, o Ludzkości przez wielkie L, to też frazesy te ocuciły mnie odrazu. Prawdziwi lekarze (znam ich nieźle, bo od trzech kwartałów stykam się z nimi aż nazbyt często) nie plotą takich pustych andronów.

Sztuka pana Sidney'a Kingsley'a, pomimo wszystkich reportażowych realjów tekstu, pomimo naturalistycznej gry aktorskiej, pomimo autentycznych rekwizytów chirurgicznych (wspaniała sala operacyjna z najnowocześniejszemi przyrządami) okazała się utworem mało dramatycznym i bynajmniej nie wzruszającym.

Autor przedstawił nam niedolę młodego asystenta praktykującego przy wielkim asie chirurgji. Młodzieniec ten tak jest zapracowany, że nie ma czasu wycałować się porządnie z narzeczoną-miljonerką. Wskutek tego nadmiar energji miłosnej wyładowuje przypadkowo w objęciach pierwszej lepszej sanitarjuszki, która mu się nawinęła pod ręce. Fenomenalnie subtelna dziewczyna, znalazłszy się wskutek tego w stanie błogosławionym, udaje się najniepotrzebniej do pokątnej akuszerki, żeby się pozbyć kłopotu. (Miała tylu lekarzy dookoła!). Wskutek źle zrobionego zabiegu — umiera. Dobrze robi. Gdyby nie umarła, młody lekarz musiałby się wyrzec miljonerki, ożenić z bidotą, porzucić praktykę u znakomitego „asa", i klepać biedę na prowincji. Dzięki temu jednak, że umarła po (pokazanej na scenie) operacji otrzewnej — sztuka kończy się niemal kinowym *happy end*'em. Asystent pojedzie na jakiś czas do Europy, postudjuje sobie trochę w klinikach wiedeńskich, poczem wróci w stęsknione ramiona miljonerki.

Trudno powierzchowniej przedstawić ludzkie nieszczęście, niż to uczynił p. Kingsley. Tragedja młodej dziewczyny była mu potrzebna do pokazania stołu operacyjnego, wobec tego przychologją bohaterki dramatu nie zawracał nam głowy. Dowiedzieliśmy się paru szczegółów obyczajowych z życia amerykańskich lekarzy, obejrzeliśmy rekwizyty i wyszliśmy z teatru bynajmniej nie przejęci przydługiem widowiskiem, pomimo doskonałej gry zespołu aktorów z Warneckim na czele.

S. J. G.

POKŁOSIE

NOWOCZESNE ŚWIĘTA

Po ŚWIĘCIE Lasu, święcie Konia, święcie Morza, następuje obecnie święto Gór, nawet nie zwykłe święto, ale jakieś odpustowe, bo trwać będzie ni mniej ni więcej tylko cały tydzień. Będzie to pewno, chociaż nic przewidzieć nie można, kulminacyjny punkt tej powodzi nowych „świąt", jaka od pewnego czasu nas zalewa.

Niektóre z tych nowoczesnych świąt mają niewątpliwie propagandowy, reklamowy początek; tak jest ze świętami morza i gór. Ale nie wszystkie wywodzą się z tego źródła i stanowią jednak bardzo interesujący objaw kulturalny. Niedawno, pod pretekstem konieczności wzmożonego tempa pracy, znosiliśmy jakoby zbyteczne święta katolickie, a pomagała temu obojętność religijna dojrzałego lub przejrzewającego dziś pokolenia, która sprawiła, że na święta, ustanowione przez Kościół, inteligencja nasza zapatrywała się nie jako na pewne rocznice, mające być poświęcone pewnym wspomnieniom, czy rozpamiętywaniom, lecz wyłącznie jako na dni wolne od pracy, dni próżnowania. Wskazywano nam ze strony usłużnej przykłady narodów protestanskich, które rzekomo dla mniejszej niż u nas liczby świąt osiągnęły znacznie większy poziom dobrobytu i rozwoju kulturalnego. Poszliśmy za temi radami ochoczo, znieśliśmy kilka świąt kościelnych, obchodzonych dotychczas uroczyście, aż tu nagle, zanim jeszcze przepowiadana zamożność i rozkwit nastąpiły, zaczęliśmy stanowić nowe święta, nie ograniczając ani ich liczby, ani czasu trwania. Coś jednak tkwi w tem głębszego, widocznie odpowiada to jakimś ukrytym, pierwotnym potrzebom i może dlatego nowe święta są jakby cofnięciem się do potrzeb i wzruszeń ludzkości, pierwotniejszych, niż te, do których nasz stopień cywilizacyjny był nas przyzwyczaił. Odzywa się duch prymitywu, który rządzi nietylko zresztą u nas.

Znieśliśmy kilka świąt Matki Boskiej, między niemi święto Zwiastowania, a wprowadzamy z wielkim nakładem agitacji święto „matki". Nic by w takiem święcie nie było zdrożnego, ani śmiesznego, cześć dla macierzyństwa jest zawsze na miejscu, ale pocóż było znosić dni poświęcone Matce, do której od wieków zwracamy się w litanjach i której Imię tyloma słodkiemi ozdabiamy przymiotnikami, aby ustanawiać nowe obchody na cześć matki, pojętej „abstrakcyjnie". Odpowiedź na to znają zapewne filuci, którzy przy tym ogniu swą ideową pieczeń przysmażali...

Święto lasu nosi już wyraźny charakter czci oddawanej zjawiskom, czy siłom natury. U nas w dodatku brzmi tem fałszywiej, że naprawdę lasu wcale nie szanujemy w zwyczajnem, kupieckiem znaczeniu i wycinamy go bezlitośnie, mimo, iż nie mamy go wcale więcej, niż inne narody, a specjaliści przepowiadają, iż niech ta gospodarka jeszcze jakiś czas potrwa, a będziemy drzewo na własne potrzeby z zagranicy sprowadzać.

O świętach Konia i czekających nas prawdopodobnie niebawem świętach Krowy, Owcy i Pszczoły niema się co dłużej rozwodzić. Prymitywny charakter tego rodzaju instytucji bije w oczy. Wspomnę jeszcze o święcie Gór.

Nie tylko dlatego, że zapowiada się jako największe z cyklu nowych świąt pogańskich, ale dlatego, że mimo swego niewątpliwie handlowego, reklamowego źródła budzi w niektórych duszach istotnie jakieś pogańskie odruchy i refleksje. Oto piszą mi z Zakopanego, że wśród przygotowywanych na to święto transparentów widać też takie: „Górom Cześć!", umieszczone na willach należących do osób „z inteligencji". Widocznie nikogo z mieszkańców nie uderzyła cała matołkowatość takiego hasła. Nie przyszło widocznie nikomu tam na myśl, że można dla gór mieć podziw i uwielbienie dla ich piękna, czy potęgi widoku, ale skąd cześć? Czcić przecież można tylko kogoś, lub też w przenośni jakąś zasadę, prawdę moralną, ideję. Kto zaś wyraża cześć względem przedmiotu martwego, ten jest naprawdę bałwochwalcą.

Może to w tym wypadku tylko pewien niedorozwój, ale któż to wie! Jak się przypomni powodzenie w naszych czasach różnych ordynarnych guseł i szarlatanów, gdy pomyślimy o owym Angliku, który niedawno przy współudziale jakiejś „dziewicy" z Wrocławia i czarnego kozła w Harzu urządzał na szczycie Brocken sabat czarownic i wywoływał djabła, to jednak wydaje się, jakoby pewne warstwy i to te, które się mają za najpostępowsze, nawracały daleko wtył. Pozytywizm wyczyścił im tabliczki szkolne na glanc, zaczynają więc szyferkiem pisać od początku...

ARGUS

NA MARGINESIE

Jedno z pomniejszych pism sanacyjnych („Akcja narodowa") pisze, co następuje:

„Opozycja ogłosiła bojkot wyborów. Centrale partyjne uchwaliły nie brać udziału w wyborach i rozwijają ponoć agitację w tym kierunku, aby ludność poparła tę decyzję. Zaprawdę — dobrze się dzieje w kraju, w którym tak straszliwie terroryzowana opozycja zmuszona jest aż bojkotować wybory, a równocześnie — swobodnie, w prasie i na zebraniach za tem agitować. Trudno sobie wyobrazić taką agitację w krajach, które — jak Polska — weszły na drogę nowego ustroju. I tu właśnie wychodzi na jaw całe zakłamanie argumentacji opozycyjnej, jakoby się jakiś gwałt na niej dokonywał. Skoro bowiem uchwala agitację za bojkotem — to gdzież tu cień jakiegokolwiek ucisku i represji?".

Z tych samych kół głoszono kiedyś uzasadnienie Berezy Kartuskiej...

*

W syjonistycznym „Naszym Przeglądzie" czytamy:

„Generalny Komisarz Pożyczki Narodowej udzielił zgromadzeniu synagogalnemu zezwolenia na przyjmowanie imiennych obligacyj Pożyczki Narodowej i wydawanie wzamian nich (?) bezimiennych obligacyj 6 proc. zgromadzenia synagogalnego, amortyzowanych drogą corocznego losowania aż do roku 1946.

Szereg poważnych obywateli i firm już dokonał zamiany swoich obligacyj na obligacje synagogalne. M. in. Dom Bankowy D. M. Szereszowski zamienił 20.000 zł.

Zezwolenie udzielone zostało w celu umożliwienia Synagodze wykończenia gmachu Głównej Bibljoteki Judaistycznej, który obecnie już „po uzyskaniu od Funduszu Pracy dotacji w kwocie zł. 30.000, jest wykańczany i t. d."

Nareszcie wiemy, dlaczego pożyczka nazywała się „narodową" i co się dziś, dzięki niej, „umożliwia"... I wiemy również, na jakie potrzeby kulturalne znajduje nasze państwo kredyty, których zabrakło na dokończenie sejmowego wydania dzieł Mickiewicza...

*

Pismo propagandowe „*La tribune des jeunes*", wydawane z zasiłku polskiego M. S. Z., w obcych językach, dla młodzieży zagranicznej, zamieszcza obszerny artykuł literacki, poświęcony entuzjastycznej pochwale p. Peipera. Czytamy tam między innemi: „*Peiper est devenu un dompteur énergique de la loquacité et du sentimentalisme slave, un propagateur de la concision*"... etc.

Co za przykre niedbalstwo korektoral.. Niewątpliwie powinno było być „*circoncision*"... Byłby to przecież o wiele zrozumialsze.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.